NUMER 12. ROCZNIK I. GRUDZIEN 1897.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(MAT XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(ŚW. DYONIZY).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(ŚW. FRANCISZEK Salezy).



Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież PIUS IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św LEON XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA.**

Odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy salezyańscy.

Na mocy Brewe Ojca św. PIUSA IX, *z dnia* 9go *maja* 1876 *r., każdy* **Pomocnik i Pomocnica** *salezyańska może zyskać wszystkie bez wyjątku odpusty, tak* **zupełne,** *jako i* **cząstkowe,** *których dostępują* **Tercyarze** *zakonu św. Franciszka z Asyżu.*

(*Zob.* Ustawy dla Pomocników salezyańskich, *str.* 18-28).

Prócz tego zyskać mogą **Pomocnicy** *nasi:*

a) *odpust* **zupełny** *raz na dzień, jeżeli odmówią trzecią część Różańca św. przed Najśw. Sakramentem, a w razie niemożności, przed krucyfiksem. — Odpust ten ofiarować mogą za dusze w czyscu cierpiące;*

b) *odpust* **zupełny** *za każdym razem, jak przystąpią do Komunii św.;*

c) *tyle odpustów* **zupełnych** *w ciągu dnia, ile razy na intencyą Ojca św. zmówią* 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś i 6 Chwała Ojcu.

Odpusty te, które można także ofiarować za dusze, w czyscu cierpiące, zyskać można **toties quoties,** *to znaczy: ile tylko razy odmówi się wyż podane modlitwy, na jakiembądź miejscu, nie potrzebując przytem zgoła przystępować do Sakramentów św., wystarczy bowiem być w stanie łaski Bożej;*

d) *odpust* **zupełny** *w każdą niedzielę i w dni poniżej wymienione, jeżeli wyspowiadawszy się w ciągu tygodnia i do Komunii św. przystąpiwszy jaki kościół albo kaplicę publiczną nawiedzą i tam na intencyą Ojca św. się pomodlą.*

Styczeń.

1. Obrzezanie Pańskie.
6. Święto Trzech króli.
2ga niedziela po Trzech Królach: Święto Najsłodszego Imienia Jezus.
18. Święto katedry św. Piotra w Rzymie.
23. Zaślubiny Najśw. Maryi Panny ze św. Józefem.
25. Nawrócenie św. Pawła Apostoła.
29. Św. Franciszka Salezego.

OD WYDAWNICTWA.

Z niniejszym numerem kończą „**Wiadomości salezyańskie**“ pierwszy rok swego istnienia. Jak wszystkim innym dziełom i przedsięwzięciom salezyańskim, nie odmówił widocznie Pan Bóg Swego błogosławieństwa, a Najśw. Wspomożycielka potężnej Swojej opieki, także temu *dziełu* najmłodszemu.

Dowodem tego zadziwiający przyrost **Pomocników** salezyańskich we wszystkich ziemiach polskich, jak niemniej życzliwe przyjęcie, jakiego tam od razu doznały i jakiem się dotąd cieszą „**Wiadomości.**“

Ziemia polska, jeżeli nas wszystko nie myli, więcej od wszystkich innych okazuje się żyzną i nadaje się pod uprawę dzieł salezyańskich.

Jeszcze np. dwa lata nie upłynęły od czasu, kiedy po raz pierwszy rozesłaliśmy program **Związku mszalnego**, w języku polskim, a już się doń zapisało, lub zostało zapisanych, przeszło 120,000 członków ze wszystkich części i zakątków Polski.

Związek Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych dla ułatwienia dostąpienia stanu duchownego w dojrzalszym już wieku będącej młodzieży, zaczyna również bujno wschodzić na ziemi polskiej: za zebrane ofiary na rzecz jego kształci się już kilku młodzieńców w kolegium św. Joachima w **Lombriasco.**

Związek Pomocników salezyańskich narodowości polskiej liczy obecnie przeszło 25,000 członków. Liczbie tej odpowiada także nakład „**Wiadomości salezyańskich.**“

Jak żywe obudził zajęcie w kraju naszym i jak szybko rozszerzył się ostatni **Związek,** przekonać się można najlepiej, zestawiając różnojęzyczne buletyny salezyańskie co do roku, w którym po raz pierwszy się ukazały i co do wysokości dzisiajszego swego nakładu.

Włoskie *Bollettino Salesiano* (założone w r. 1877)	odbija	się	w	61,500	egzempl.
Francuski *Bulletin salésien* (zał. r. 1879)	„	„	„	33,500	„
Hiszpański *Boletin salesiano* (zał. r. 1886)	„	„	„	16,500	„
Angielski *Salesian Bulletin* (zał. r. 1892)	„	„	„	8,000	„
Niemieckie *Salesianische Nachrichten* (zał. r. 1895)	„	„	„	23,000	„
Polskie *Wiadomości Salezyańskie* (zał. r. 1897)	„	„	„	25,000	„

Cyfra ostatnia, w porównaniu z poprzedzającemi, jest zatem wcale pokaźna, a jednak ze względu na cel, jaki sobie „**Wiadomości**“ stawiły, nieskończenie mała. Daleko jeszcze do tego, aby wszystkie trzy **Związki** salezyańskie ogarnęły cały kraj, cały naród polski: od Bałtyku do Karpat, od Odry aż do Dniepru. A jednak do tego przyjść musi, — wierzymy w to tak samo niezachwianie, jak w to, że się spełnią słowa księdza Bosko: **przyjdzie czas, kiedy być dobrym katolikiem a Pomocnikiem salezyańskim będzie znaczyło jedno i tosamo.**

Dlatego zwracamy się do przezacnych naszych **Pomocników** z serdeczną prośbą, by raczyli się postarać, ażeby ich grono w nadchodzącym roku 1898 przynajmniej się podwoiło.

Przy dobrej woli nie jestto wcale trudnem, boć przecież każdy **Pomocnik** wśród krewnych, znajomych, i sąsiadów swoich znajdzie co najmniej kilku *dobrych katolików*, to znaczy ludzi, co żyją według przepisów Wiary św. i pragną szczerze zbawienia własnego i swoich bliźnich; tacy z największą pewnością zastęp ich by powiększyli. Nie chodzi tu bynajmniej o to, czy katolicy (o których mowa) są mniej lub więcej zamożni, czy zechcą lub *nie* wspierać zakłady i przedsięwzięcia salezyańskie (serca ludzkie są w ręku Boga), lecz o to, czy pragną, aby *przyszło królestwo Boże* na ziemię, a Pan nasz i Zbawiciel Jezus Chrystus żeby królował nad światem.

Otóż prosimy **Pomocników** naszych, by na załączonym do niniejszego zeszytu grudniowego **spisie** osoby takie zanotować i nam nadesłać raczyli.

Otrzymawszy **spis**, pozwolimy sobie przesłać osobistościom tym dyplom na naszych **Pomocników**, zapraszając je do wstąpienia do naszych **Związków**. Resztę sprawi łaska Boża i dobra ich wola.

W końcu jeszcze jedna prośba.

Wzywamy wszystkich tych z grona naszych Pomocników, którzy w ciągu roku 1897[go] **nie otrzymali tego lub owego numeru „***Wiadomości salezyańskich***“ a życzyliby sobie rocznik I uzupełnić, ażeby się listownie do nas zgłosili, gdyż chętnie życzeniom ich uczynimy zadość.**

MODLITWA
NA KONIEC WIEKU.

Kongregacya św. Odpustów zatwierdziła i odpustem 100 dni, raz na dzień dostąpić się mogącym, uposażyła następującą modlitwę:

Daj nam, najłaskawszy Boże, za przyczyną **Błogosławionej Niepokalanej Dziewicy**, *abyśmy naszej pokuty łzami winy tego kończącego się wieku obmyli, a początki nadchodzącego tak przygotowali, aby cały ten przyszły wiek poświęcony był chwale Twojego Imienia i Królestwa* **Jezusa Chrystusa**, *Syna Twego, któremu niech wszystkie narody służą w jedności wiary i doskonałej miłości. Amen.*

(Odpust ten ofiarować można za dusze zmarłych, w czyscu cierpiące.)

Misye salezyańskie
na
Llanos de San Martin.
(Kolumbia, południowa Ameryka).

Bogotá, 30go stycznia 1897.

Przewielebny Ojcze,

Korzystam z kilku dni pobytu w stolicy (Santa Fé de Bogotá), dokąd przybyłem na ćwiczenia duchowne, aby przy tej sposobności przesłać najdroższemu Ojcu jaką wiadomość z *równin San Martin*, oraz krótkie sprawozdanie z misyi, jaką przeszłego roku w różnych, na obszernych tych *Llanos* rozrzuconych miasteczkach i siołach, odprawiłem.

Jak już Przew. Ojcu wiadomo, rok temu osiedliliśmy się w miasteczku San Martin, punkcie środkowym obwodu (*Vicaria*) tegoż samego nazwiska, a było nas razem dwóch kapłanów, jeden kleryk i jeden koadjutor (czyli braciszek). Dwa miesiące po naszem przybyciu, i to właśnie, kiedyśmy co dopiero ukończyli wzniosłe obrządki Wielkiego Tygodnia, posłuszeństwo włożyło na mnie obowiązek zwiedzić osady Uribe, Villavicencio, San Juan de Arama, Jirámena i Guejar, — miejscowości, zależne od *Vicarii* (San Martin), a odległe jedna od drugiej o dwa lub trzy dni konnej jazdy.

Pierwszy to raz w życiu przypadło mi podróżować samemu, w towarzystwie ludzi całkiem nieznanych i w okolicach jeszcze na pół barbarzyńskich. Lecz posłuszeństwo i gorące pragnienie przysłużenia się w sprawach duchownych ludności tych dalekich stron, nie tylko ulżyły mi, ale owszem osłodziły, wzięty na siebie ciężar.

1. Topografia okolicy. — Bogactwa krajowe. — Nocleg poetyczny. — Rybołóstwo i polowanie. — Tygrys.

Największą osadą na *Llanos* jest Uribe, oddalone około 5 dni konnej jazdy od San Martin. Droga, do niego wiodąca, ciągnie się w kierunku południowo-zachodnim i przerzyna równiny, pokryte na pół zeschłą trawą, lasy o olbrzymich drzewach, liczne strumyki, tudzież kilka rzek, płynących mniej więcej równolegle do siebie ze zachodu na wschód. Niezmierzona płaszczyzna, wszędzie równa, całkowicie pozbawiona pagórków i gór, żywo przypomina powierzchnię Oceanu. Na zachód, w oddali, widać wyniosłe szczyty Kordylierów Sumapaz, które przed posuwającym się w ich kierunku zdają się ciągle cofać wstecz. Od czasu do czasu spotyka się jaką chatę, otoczoną *bananami*, *caimarones* (których owoc jest podobny do winogron), szerokolistne *mangos*, *curos* i t. d., pod których cień nader chętnie chroni się bydło. Nie brak również wielkich plantacyi *kawy*, *kakao* i *trzciny cukrowej*; głównem jednakże bogactwem tych okolic jest *chów bydła*. Tutaj, jak za czasów patryarchów Starego Testamentu, ocenia się czyje bogactwo według ilości sztuk posiadanej trzody. Są tu tacy, co jej posiadają do 10,000 sztuk.

Pierwszą noc przepędziliśmy w szałasie pasterskim, skleconym z gałęzi, a dającym przystęp wszystkim możliwym wiatrom, w towarzystwie psów, cieląt i nierogacizny, która od czasu do czasu pozwalała sobie szturchać

ryjem nasz *hamak* (czyli łóżko wiszące, *) oraz kur, gołębi i nietoperzy, które siedząc na gałęziach, tworzących niby dach szałasu, rozweselały nas piskliwym swym głosem, ale zarazem obsypywały nie bardzo przyjemnymi dowodami swej dla nas życzliwości.

Nocleg w tych stronach możnaby rzeczywiście nazwać arcypoetycznym, gdyby go się nie spędzało zawsze w jednakowy sposób. Śpi się na *hamaku*, albo na jakiej skórze, rozpostartej na ziemi; siodło z konia albo żółwia skorupa służy za poduszkę, a za kołdrę własne ubranie, którego się tutaj nigdy z siebie nie zrzuca. Dodać tu muszę, że nierzadko trzeba się położyć do snu, nie posiliwszy się wprzód wieczerzą, albo co najwyżej, uraczywszy się pozostałą jaką z obiadu odrobiną tak skąpo, że tego wcale nie można nazwać posiłkiem, — jak mi się to nieraz już przytrafiło, — a będzie się miało wyobrażenie o przyjemnościach i wygodach podróży w tych okolicach.

Nazajutrz rano, około 10tej, znaleźliśmy się nad rzeką *Ariari*, największą na *równinach San Martin*, obfitującą w ryby wszelkiego rodzaju, często nadzwyczajnej wielkości. Kilka dni przed naszą przeprawą złowiono np. rybę, ważącą 1 $^1/_2$ centnara. Obfituje dalej ta rzeka w krokodyle i pewien gatunek ryb, obdarzonych tak silną elektrycznością, że w jednej chwili mogą sparaliżować jakiekolwiek zwierzę. Gdyby rybołóstwo było tu nieco więcej pielęgnowane, stałoby się niezawodnie źródłem bogactwa dla całej okolicy.

Po lewej stronie rzeki *Ariari* ciągnie się gęsty las, pełen ptactwa i zwierząt wszelkich odcieni, a zwłaszcza: *papug*, *pawi*, *kanarków*, jakoteż *małp* przeróżnej wielkości i gatunku, i *tygrysów*, które nieobliczone wyrządzają szkody w bydle.

Wspominając na tem miejscu tygrysów, dodam i to, że nie brak w tych stronach tak dalece zręcznych i doskonale oszczepem, lub widłami, władających myśliwych, że gdy raz zoczą tygrysa, już go z pewnością żywego nie puszczą. Pewien strzelec z San Juan de Arama ubijał ich co najmniej po trzy rocznie. Przez co nie chcę bynajmniej twierdzić, jakoby tu nikt nie padał ofiarą tego straszliwego zwierza; owszem, nie mało ludzi ginie w jego pazurach, ale zawsze tylko tacy, których on napadł zdradziecko, tj. z tyłu.

Godny uwagi jest sposób, w jaki bydło na pastwiskach broni się od tej krwiożerczej bestyi. Przedewszystkiem przeczuwa instynktem, kiedy tygrys znajduje się w pobliżu. Wtenczas stadniki, krowy i cielęta zaczynają ryczeć przeraźliwie, całe stado skupia się na jednem miejscu i ustawia spiesznie w koło: środek zajmują cielęta i młode bydło, naokoło nich stają krowy, krawędź zajmują, jako najsilniejsze, stadniki, — a wszystko rogi trzymając na zewnątrz — i w takim ordynku oczekują nieprzyjaciela. Nadbiega w skokach tygrys, lecz widząc przed sobą silną, ostrymi najeżoną rogami twierdzę, okrąża ją rycząc i ogonem bijąc się po bokach, wreszcie rad nierad, zmuszony dać za wygraną i zaniechać zdobyczy, wraca z kwitkiem do lasu.

2. San Juan de Arama i jego niepokaźna kapliczka. — Dobre serce i gościnność mieszkańców. — Zgniła febra. — *Los cajuches*. — Do Guejar. — Cudna przyroda.

Po dwudniowej podróży z San Martin przybyliśmy szczęśliwie, już pod wieczór, porządnie głodni do małej wioski, zwanej San Juan de Arama, liczącej około 200 mieszkańców. San Juan de Arama było niegdyś miasteczkiem, nazwiskiem Concepcion de Arama, którego gruzy i rumowiska można jeszcze widzieć w miejscowości, dość daleko od dzisiejszej osady leżącej. Istniała tu kiedyś jeszcze inna wioska, zwana San Juan de los llanos, ale i ta z czasem znikła z powierzchni tych równin.

Ludność wioski San Juan de Arama, podobnie jak mieszkańcy San Martin i Jirámena, zajmuje się przeważnie pasterstwem i hodowlą bydła, które, jak to już raz byłem wspomniał, stanowi główne, rzekłbym, jedyne bogactwo tych okolic.

Cała wioska składa się z sześciu chat, licząc w to także kaplicę. Ta ostatnia zbudowana jest z drzewa i gliny; dach ma słomiany. Wygląda raczej na lepiankę, niż na kaplicę. Jakie ubóstwo, co za opuszczenie! Okna są to zwyczajne dziury, ołtarz wygląda na szafę od butelek; zamiast lichtarzy widzi się butelki i beczułki, które na pierwszy rzut oka dają znać, do czego nie tak bardzo dawno służyły i które dźwigają teraz w szyjkach koszlawe świece łojowe. Wyższą część ołtarza zajmują trzy straszne i tak potworne figury, że gdyby mi nie powiedziano, że przedstawiają jakichś świętych, sam z pewnością nigdybym tego nie potrafił odgadnąć. Jedna z nich miała nos utłuczony, drugiej brakowało rąk, trzecia miała wydrapane oczy, wszystkie zaś były przystrojone w spo-

*) Zob. *Wiadomości salezyańskie* nr. 10, str. 254.

sób tak cudacki, że gotowe były wzbudzić śmiech nawet w głazach. A jednak ludność tej osady przywiązana jest do kapliczki i czci owe statuy z taką wiarą, jak gdyby to były arcydzieła najznakomitszych rzeźbiarzy. Wszystko, co posiada ta ubożuchna kapliczka, a zatem mszał, przybory kościelne i t. d. wygląda tak, jak gdyby liczyło co najmniej kilka wieków istnienia. Nie mówię już nic o zakrystyi, bo gdybym chciał dać jakie takie o niej wyobrażenie, musiałbym ją chyba nazwać jaskinią, nie zasługuje bowiem na inną nazwę.

W tej oto kapliczce odprawiłem piętnaście razy Mszę św., za każdym razem z wielkiem rozrzewnieniem i nabożeństwem, ochrzciłem piętnaścioro dzieci, pobłogosławiłem dwom związkom małżeńskim, wysłuchałem kilkunastu ludzi spowiedzi i rozdzieliłem im chleb Anielski.

Ludność San Juan de Arama odznacza się wielkiem uszanowaniem dla kapłana, którego niestety tak rzadko tylko widuje. Można to poznać po sposobie ich wyrażenia się i po tytułach, jakie mu dają. Mówiąc o nim, nazywają go zawsze *Su Paternidad* (= Jego Ojcostwo), *Su Reverencia* (= Jego Wielebność); rozmawiając z nim, mówią zawsze: *mi Amito* (= mój paniczku), *mi Papacito* (= mój Ojczuszku); byli zaś jeszcze tacy, którzy mnie śmiało tytułowali *Su Santidad* (= Jego Świątobliwość), jeden tylko, nie wiem, z jakiej racyi, dawał mi na pół z łacińska: *mi Pater* (= mój Ojcze).

Na tymczasowe moje pomieszkanie wyznaczono mi stary sklep, w którym znajdowała się ławka, dość duża szafa, skóra, rozciągnięta na ziemi, mająca służyć za łóżko, i wieko od skrzyni, które zastępowało kanapę. Żywność, jaką mi sami donosili, składała się z kawałka mięsa, suszonego na słońcu, i z *bananów*: raz przysmarzonych, drugi raz przypieczonych, to znów gotowanych, ale zawsze i ciągle z bananów: banany na śniadanie, banany na obiad, banany na wieczerzę. Świeża woda ze strugi *Cunimía*, płynącej o kilka kroków za wioską, starczyła za wino lub piwo.

Nie wiem, czy to dla braku odpowiedniego wiktu, czy też z powodu niezdrowego klimatu, który, zdaniem wielu, w tej właśnie miejscowości jest najgorszym na *równinach San Martin*, dość, że po dziesięciodniowym pobycie w San Juan de Arama napadła mnie tak silna febra, że zmusiła mnie położyć się do łóżka. W tak krytycznem położeniu, zdala od moich współbraci, wśród ludzi nieznajomych, cóż miałem innego robić, jak polecić się gorąco Opiece potężnej naszej Orędowniczki, Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki. Ufność moja w Opiekunce naszej nie została zawiedziona, a Matka Najświętsza przyszła mi rychło w pomoc. Febra w kilka dni ustała.

Skoro tylko przyszedłem nieco do sił, puściłem się na nowo w podróż. Ośmnaście dni trwał mój pobyt w San Juan de Arama. Wyruszyłem stamtąd 3^{go} maja.

O pięć godzin drogi od San Juan de Arama napotyka podróżny pierwsze stoki wschodnich *Kordylierów* czyli *Sumapaz*. Jadąc dalej w tym kierunku, niezadługo pozostają całkiem w tyle rozległe *równiny San Martin*, a oko podróżnego z radością zaczyna odkrywać coraz to inne widoki w tych górach, które stają się coraz wyższemi, im bardziej się w nie zapuszczamy, lecz wszędzie, od szczytu do podnóża, bujną zawsze pokryte są roślinnością. Bogatą tu jest w liczne i rzadkie okazy *fauna* (królestwo zwierząt), ale niemniej zasobną *flora* (świat roślinny). O! gdyby te dziewicze lasy znajdowały się w Europie, jakąż korzyść umianoby z nich odnosić!

Zatopiony w tych myślach, ani się spostrzegłem, że wyprzedziłem znacznie mego przewodnika, który dopędziwszy mnie, zapytał zaraz, czy zauważyłem *los cajuches*, które dopiero co przechodziły, i zaczął mi o nich opowiadać.

Los cajuches, które na pierwszy rzut oka wziąłem był za dzikie świnie, są istotnie podobne do naszej nierogacizny, z tą wszakże różnicą, że są nieco mniejsze. Nie należy ich jednak mięszać z dzikami, od których różnią się w niejednym względzie. I tak, chodzą np. zawsze stadami, po 100, 200 i 300 sztuk, przyczem warchlaki stale zajmują środek. Mięso ich jest smaczniejsze, aniżeli zwykłe wieprzowe.

Myśliwiec strzela do nich zdala, lub z jakiego wysokiego drzewa. Biada mu, jeżeli stado go pochwyci: niema wtedy dla niego ratunku. Nawet tygrys boi się *los cajuches*: wie on, że gdy go otoczą zwartą masą, może z nich rozszarpać choćby tuzin i więcej, lecz że ostatecznie śmiałość swoją przypłaci życiem; kiedy więc urządza na nie zasadzkę, wdrapuje się na drzewo, a gdy całe stado już przeszło, rzuca się na maroderów, ciągnących na ostatku.

U stóp *Kordylierów* wznosi się na malowniczym, zielenią pokrytym pagórku mała, niezbyt dawno założona wioska, nazwiskiem Guejar, albo Las Mesetas, licząca około 150 mieszkańców. U podnóża tegoż pagórka, w głębokim jarze, wije się bystra

rzeczka *Guejar*, wpadająca do *Ariari*. W Las Mesetas niema wcale kaplicy; dobywszy więc ze sakwów wszelkie przybory, jakie wzięliśmy ze sobą, zamieniliśmy na kaplicę najschludniejszą izbę, jaką udało się nam wynaleść, i tam odprawiłem trzy razy Mszę świętą — pierwszy kapłan, który wogóle sprawował św. Ofiarę w tej wiosce, — ochrzciłem około 20 dzieci, powiedziałem zgromadzonym wiernym kazanie, odprawiłem uroczystą procesyę i udzieliłem im błogosławieństwa Najśw. Sakramentu.

Spostrzegłszy, że ludność, ogółem wziąwszy, jest dobrej woli, zachęciłem ją do zbudowania kościołka i wyznaczenia jakiego ogrodzonego miejsca na cmentarz, którego osada ta jeszcze nie posiadała, — jak go zresztą nie mają wszystkie inne wioski na tych *równinach*, gdzie ciała zmarłych chowają gdziebądź w polu, bez żadnego uszanowania.

Od Guejar do Uribe jedzie się blisko dwa dni, większą częścią w okolicy górzystej, przyczem nieraz przychodzi przeprawiać się przez rwiące rzeki i wcale piękne strumyki. *Cabre*, *las Peñas* i *Duda* płyną między dwiema wysokiemi ścianami, utworzonemi ze skał, które się wydają jakby dłutem wykute, szerokie na dwa metry; ale ich nadzwyczajna głębokość uzupełnia, czego niedostawa ich szerokości. Widok takich dziwów przyrody wprawiłby niezawodnie w podziw każdego architekta. *Las Pailas* (czyli *kotły*) wyżłobiły sobie koryto w żywej skale, a mają tyle i tak pięknie wyrobionych dziur w łożysku, że wydają się rzeczywistymi kotłami. Roślinność tych okolic jest tak bujną, że chociaż do tych gór, rzekłbym, prawie nigdy nie przenika promyk słońca, to jednak podróżny widzi ciągle nad sobą gęsty szpaler zwieszających się gałęzi i roślin, wesołym i melodyjnym ptactwa ożywiony śpiewem, wkoło siebie zaś niezliczoną ilość motylów i motylków, lekko kołyszących się na swoich skrzydełkach i mieniących się wszystkiemi barwami tęczy. Jedyna rzecz, która mąci urok, jaki sprawia na wędrowcu widok tej wspaniałej przyrody i co nadzwyczaj utrudnia podróż w tej części *Kordylierów*, jest całkowity brak jakich wygód, a nawet środków do życia. Nieraz bowiem przychodzi podróżować kilka dni, nie spotkawszy żywej duszy, nie natrafiwszy ani jednej — już nie powiem gospody, — ale nawet chaty lub szałasu, gdzieby można nieco przystanąć, posilić się i zmęczone członki pokrzepić. Co do mnie, wyznaję, że po trzy razy już musiałem trząść się cały dzień na kulbace, wypiwszy rano tylko jeden kubek mleka.

3. Uribe i jego dzieje. — Nad grobem. — Opatrzność Boska. — Dobrze się stało. — Tragiczna śmierć Dominikanina O. *VELA*. — Odjazd z Uribe.

6go maja, tj. w 22 dni po moim wyjeździe z San Martin, odbywałem nieledwie tryumfalny wjazd do Uribe. Z jakich trzydziestu ludzi wyjechało konno na moje spotkanie. Miasteczko było świątecznie przystrojone: tu wywieszono chorągiew, tam wznosił się łuk tryumfalny, owdzie nawet ołtarz. Wystrzały z rusznic i pistoletów, nie koniecznie przyjemny dźwięk, jaki wydawały dwa cylindry, wzięte nie wiem już z jakiej maszyny, a w które bito z zapałem, niby we dzwony, gromkie okrzyki „*niech żyje!*“ i radosne, a głośne powitanie ze strony ludności, aż ogłuszały uszy. Mieszkańcy Uribe nie posiadali się z radości z powodu przybycia misyonarza.

Uribe, stolica prowincyi tegoż nazwiska, jest miastem dopiero w zarodku. Istnieje zaledwie 13 lat, a liczy już 3,000 mieszkańców. Przedtem była tu tylko faktorya, należąca do *Spółki kolumbijskiej* (Compagnia di Colombia), właściwym zaś założycielem miasteczka jest *Herrera, Uribe & Spółka*, do której należy także X. Arcybiskup z Bogotá, który nam misye na *Llanos* był powierzył. *Spółka* powyższa zbudowała drogę z Kolumbii (z miejscowości, zwanej Tolima) do Uribe i z Uribe do San Juan de Arama; ona również wystawiła kościół, plebanię, słowem, ona podtrzymuje tę osadę. Uribe, bez poparcia materyalnego, jakie mu daje *Spółka*, przestałoby istnieć.

Domy Uribe, podobnie jak wszystkie inne we wioskach i miasteczkach na *Llanos de San Martin*, są zbudowane z drzewa i gliny, o dachu słomianym, lub zbitym z desek; mają jedno tylko piętro, i to bardzo niskie, drzwi, które zazwyczaj zamykają kawałkiem skóry, służą jednocześnie za okno. Domy takie, co najwięcej, stoją 6-8 lat; szczęściem, drzewa tu podostatkiem.

Widocznie było mi przeznaczonem, aby ta sama zgniła febra, która mnie już raz była tyle wytrzęsła w San Juan de Arama, nawiedziła mnie znowu i nieledwie przyprowadziła do grobu w Uribe. W istocie, nie minęły jeszcze ani dwa tygodnie, gdy oto mnie napadła nieszczęsna febra, powaliła na łoże, ubezwładniła, a pozbawiwszy zupełnie sił, o mało ze mnie ducha nie wydarła. Żadne pióro nie zdoła opisać, ilem wtenczas, gorączką trawiony, wycierpiał! Nie żal mi było życia — boć złożyłem je Panu Bogu w ofierze

dla zbawienia jak najwięcej dusz moich bliźnich. Życie moje należy całe do Niego — mówiłem sobie — od Niego je otrzymałem, niechże je teraz weźmie napowrót. Jeżeli Wszechmocny Stwórca nie potrzebuje już moich usług i jeżeli się zadawalnia tem niczem, którem dotychczas zdziałał, to niech się dzieje Jego wola święta. To jednakże, co najwięcej mnie dręczyło, była myśl, że muszę umierać, nie mając kapłana przy sobie, któryby mi udzielił Sakramentów św. i posilił mnie św. Wiatykiem na drogę do wieczności i coby mi wogóle dopomógł stawić się z ufnością w miłosierdzie Boga przed straszliwym Jego trybunałem. O! ileż ucierpiałem w owych chwilach i jak wzdychałem do Pana i Zbawiciela mojego i Jego Najświętszej Matki!

Ale, dzięki niech będą Wszechmocnemu Bogu, nie miała to być jeszcze moja ostatnia godzina. Owszem, właśnie w U r i b e miałem się przekonać dowodnie, że P a n nigdy swoich sług nie opuszcza. Skoro tylko bowiem rozeszła się wieść o mojej chorobie, pospieszyło mi zaraz z pomocą dwóch zacnych mężów i otoczyli mnie iście ojcowską opieką. Bylito: p. Albert PLOT, główny agent *Spółki Herrera y Uribe*, który jako lekarz, z godnem pochwały poświęceniem miał o mnie pieczę, i p. Klaudyusz QUINTERO, prefekt prowincyi, który przez cały czas mojej choroby był mi nie już przyjacielem, lub bratem, lecz najtroskliwszym ojcem. Niech im obydwom Pan Bóg wszystkie starania i poniesione trudy sowicie wynagrodzić raczy! Co do mnie, dopóki starczy tchu życia, zawsze z żywą wdzięcznością imiona ich wspominać będę.

Aczkolwiek febra przez niejaki czas przerwała mi pracę misyonarską w U r i b e, to przecież, z pomocą Bożą, danem mi było i dla tej ludności coś dobrego zdziałać. W nieco mniej, niż trzech miesiącach, mogłem udzielić 150 dzieciom Chrztu św., pobłogosławić 11 związków małżeńskich, przygotować 40 chłopców do pierwszej Komunii św. i wysłuchać spowiedzi przeszło 300 osób. Bogu niech będą dzięki i za to! Pomiędzy katechumenami, których przygotowałem do pierwszej spowiedzi i komunii św., byli i tacy, co liczyli po 20, 30, a nawet 40 lat; pomiędzy dziećmi zaś, które przyniesiono do Chrztu, niektóre liczyły po 5 lub 6 lat, a przyprowadzili je ojcowie chrzestni za rękę. Z tem wszystkiem wyznać trzeba, że U r i b e jest mieściną dobrą, skwapliwie słucha słowa Bożego, a gdy otrzyma na stałe kapłana, stanie się niezawodnie bardzo religijnem.

W kościele U r i b y spoczywają doczesne szczątki O. Józefa Kalasantego VELA, zakonu św. D o m i n i k a, który, przebywszy 30 lat na misyach na *równinach San Martin*, licząc 58 lat życia, spadłszy z konia niedaleko U r i b e, życie swe zakończył. Stało się to o godzinie 10ej w nocy dnia 9go grudnia 1895 r. Jechał na dziarskim koniu, udając się do U r i b e, w towarzystwie kilku przyjaciół, którzy go nieco wyprzedzili; naraz (a było to na drodze bitej, wykutej w skale), dał się słyszeć jakiś łoskot i przeraźliwy krzyk. Biegną tam przyjaciele... i, o zgrozo! co widzą! Koń Ojca VELA stoczył się w przepaść do rzeki, szumiącej po skałach w głębokości 50 metrów, a nieszczęśliwy zakonnik pozostał wprawdzie na skręcie drogi, lecz z roztrzaskaną czaszką i ciałem, ranami pokrytem, nie mogąc ani słowa wymówić! Biedny O. VELA! gdy go zabrano na konia, aby czem prędzej przenieść go do miasteczka, wyzionął w drodze ducha. O, niezawodnie Pan Bóg zabrał jego duszę, w nagrodę za wszystkie prace i starania, jakie poniósł, do chwały Swojej niebieskiej! Oby Wszechmocny Stwórca oszczędzić raczył tak tragicznej śmierci misyonarzom salezyańskim, którzy go obecnie zastępują na tem rozległem, niebezpieczeństw pełnem polu misyjnem!

Dzień mego odjazdu z U r i b e napełnił wielkim smutkiem dobrą ludność tego miasteczka. Nie mówiąc już nic o niezliczonych odwiedzinach, z jakiemi do mnie przychodzono w ostatnich nawet chwilach, to po radę, to po słowo pociechy, to po błogosławieństwo, to znowu, aby wynurzyć uczucia głębokiej czci i uszanowania dla odjeżdżającego misyonarza, — kiedy nadeszła godzina wyjazdu, jakież było moje zdziwienie, widząc banderę, złożoną z kilkunastu jeźdźców, czekającą na mnie, by mi towarzyszyć i kawał drogi za miasto wyprowadzić. Nie dość na tem, zaledwie wyjechaliśmy z miasteczka, napotkaliśmy całą prawie jego ludność, ustawioną we dwa rzędy, na drodze: po jednej stronie stali mężczyzni i chłopcy, po drugiej kobiety z dziewczętami. Jeden z obecnych wystąpił z szeregu, a zatrzymawszy mego konia, prosił mnie, abym przyjął na pożegnanie kilka słów, prostych a z serca płynących; biedaczyska, zasmuceni, wyrażali serdeczny swój żal, jaki odczuwali z powodu odjazdu tego, który przez trzy miesiące był im pasterzem, a którego oni zwykli byli nazywać słodkiem mianem *Ojca*.

Pocieszałem ich nadzieją, że wkrótce Pan Bóg przyśle im już na stałe kapłana, który będzie miał pieczę nad ich duszami. Że im Pan Bóg tę łaskę wyświadczy, ufam w to mocno, choćby tylko w nagrodę za ich dobre

serce i jak najlepsze chęci, jakie przy każdej sposobności okazują.

4. Pora deszczowa. — Z Uribe do Villavicencio. — Nowy kościół. — Otrzymane owoce.

Tymczasem nadeszła pora ustawicznych deszczów, pora straszliwa i bardzo niebezpieczna w tych okolicach dla tych wszystkich, którzy, jak ja obecnie, zmuszeni są dłuższą odbywać podróż. Zowią ją tu całkiem niewłaściwie *zimą*, trwa zaś całe dziewięć miesięcy, od połowy marca aż do grudnia. Nie chcę przeto bynajmniej twierdzić, jakoby w ciągu wszystkich tych miesięcy padało bez przerwy, lecz nie rzadko się zdarza, że deszcz leje jak z cebra, bez przestanku, przez ośm dni i ośm nocy, ani na chwilę nie ustając.

W czasie pory deszczowej, jakby czarem, powstają naraz strumyki i rzeki, tworzą się stawy i jeziora w miejscach, w których przedtem niebyło ich ani śladu; stawy zwolna zamieniają się w jeziora, strumyki w potężne rzeki, a rzeki w istne morza o wodzie słodkiej.

Z Uribe do Villavicencio jedzie się pięć dni konno, a w czasie tym trzeba przeprawiać się przez więcej niż *sto* strug i mniejszych lub większych rzek. Największe z nich są: *Duda*, *Guejar*, *Ariari*, *Guape*, *Guamal*, *Humadea*, *Guayuriva* i *Rio Negro*, których w porze deszczowej nie można przebyć w bród i przez które trzeba się przeprawiać, bądź wpław, bądź łódką, bądź też za pomocą tratwy, utworzonej z gałęzi lub z trzciny, a którą tu nazywają *balsa*. W czasie teraźniejszej mojej wycieczki misyonarskiej przyszło mi przeprawiać się przez *Guejar* na małej i lichej *balsa*, a przez *Ariari* wąską łódką. *Ariari* jest największą i najbystrzejszą ze wszystkich rzek, jakie dotychczas na *równinach San Martin* poznałem. Wszyscy go się lękają, kiedy wzbierze, ponieważ wiedzą dobrze, ile ofiar za każdym wylewem pochłania.

Po czterech miesiącach wydalenia się ze stacyi misyjnej, wróciłem na powrót do San Martin 11go sierpnia. Niedługo jednakże danem mi było widzieć się z drogimi współbraćmi i cieszyć się miłem ich towarzystwem, posłuszeństwo bowiem włożyło na mnie obowiązek, bym zwiedził także Villavicencio, zaczem, wypocząwszy nieco dla odzyskania sił, nadwątlonych krótką wprawdzie, ale siły fizyczne wyczerpującą chorobą w San Juan de Arama i w Uribe, 8go października puściłem się do Villavicencio, miejscowości, jak wiadomo, stosunkowo najbliższej Santa Fe de Bogotá i najważniejszej pod każdym względem na *Llanos de San Martin*, liczącej od trzech do czterech tysięcy ludności.

Kiedy roku zeszłego przejeżdżaliśmy przez tę mieścinę, udając się do nieco oddalonego San Martin, budowano tam właśnie nowy kościołek (stary bowiem stał się pastwą strasznego pożaru). Przybywszy tam teraz, mogłem już w nim, lubo nie ze wszystkiem wykończonym, odprawiać nabożeństwo, ażeby zaś tem raźniej wzięto się do ukończenia jego budowy, zatrzymałem się w miasteczku przez blisko trzy miesiące.

W ciągu mego pobytu w Villavicencio mogłem z pomocą Bożą zdziałać niejedno w zakresie duszpasterstwa: pobłogosławiłem 22 związki małżeńskie, przygotowałem około 30 chłopców i dziewcząt do pierwszej Spowiedzi, blisko 50 chłopców i dziewcząt przysposobiłem do pierwszej Komunii św., a z największą moją pociechą przystąpiło około pięćset dorosłych do Sakramentu św. Ołtarza. W uroczystość Wszystkich Świętych komunikowałem przeszło studwudziestu Villavicencyan, nazajutrz zaś, w Dzień Zaduszny, więcej niż pięćdziesięciu, — za co wszystko niech Panu Bogu nieskończone będą dzięki!

5. Wycieczka do Jirámena. — Wąż *boa*. — Nabożeństwo pod gołem niebem. — Wąż *grzechotnik*.

Pozostało mi jeszcze do zwiedzenia Jirámena, miejscowość, najbardziej w głębi *równin San Martin* leżąca, odległa od Villavicencio dwa dni konnej jazdy. Ażeby się tam dostać, trzeba przeprawiać się przez gęste lasy i przebiegać rozległe płaszczyzny, tu i owdzie urozmaicone pięknymi stawami, większą częścią wysmukłemi palmami okolone a zamieszkałe przez niezliczone dzikie kaczki, najróżniejszego kształtu i upierzenia. W stawach tych napotyka się również króla węży, straszliwego *boa*, dosięgającego tutaj siedm a nawet ośm metrów długości. Potwór ten połyka z największą łatwością człowieka, cielę a nawet jałówkę lub byczka; jeżeli zaś uda mu się dopaść krowę albo wołu, których nie potrafi połknąć całych, w takim razie oplata ich silnie, zwęża coraz bardziej swoje sploty i ściska nieszczęsną zdobycz tak długo, aż ją zastosuje do rozmiarów swojej strasznej paszczy, tak że ją może wygodnie połknąć. Mówią, że wąż *boa* wyziewa z paszczy oddech tak smrodliwy, że nim odurza jakiebądź zwierzę, które nieszczęśliwym trafem znajduje

się w pobliżu niego, i że w taki przeważnie sposób zwierzęta i ptactwo padają jego ofiarą.

17go listopada znajdowałem się już w Jirámena. Jestto wioska, leżąca przy ujściu rzeki tegoż samego nazwiska do *Mety*, i liczy blisko dwieście mieszkańców, małoco samych krajowców, wielu z nich nawet jeszcze na pół dzikich. Klimat i położenie tej osady nie mogłoby być gorsze. Gorąco jest tak nieznośne, a nocami zwłaszcza tak dokuczliwe, że nieraz już wydawało mi się, iż się uduszę. Niepomyślne te klimatyczne warunki stały się powodem, dlaczego mieszkańcy noszą się na seryo z myślą opuszczenia teraźniejszej wioski i założenia innej, w miejscu o wiele dogodniejszem, zwanem Surimena.

Nie tyle dla braku kaplicy, ile raczej z powodu, ażeby oddychać świeżem powietrzem i nie narażać się na niebezpieczeństwo uduszenia, odprawiałem w czasie trzech dni, w których bawiłem w Jirámena, Mszę św. i miałem kazania pod gołem niebem. Byłto widok równie rzewny, jak pocieszający, jaki przedstawiali ci mieszkańcy, siedząc na trawie i słuchając prawdziwie z chciwością słowa Bożego. Od lat dwóch nie widzieli już kapłana, a ostatnim z nich był nasz X. Inspektor (= Prowincyał), X. Ewazy Rabagliati, kiedy tędy przejeżdżał, zapuszczając się w pusty, niezmierzony step na zwiady, celem wyszukania stosownego miejsca na tych płaszczyznach na założenie wielkiego, ogólnego lazaretu dla trędowatych z całej rzeczypospolitej kolumbijskiej. Tutaj udzieliłem dwunastu dzieciom Chrztu św. i wysłuchałem kilkunastu ludzi.

Z powrotem do San Martin miałem sposobność widzieć po raz pierwszy węża *grzechotnika*, zwanego tutaj *cascabel*. Był długi prawie dwa metry. Ponieważ było jeszcze wczas rano, leżał na drodze na pół zdrętwiały. Zjechaliśmy z drogi na bok i minęliśmy go bez żadnego wypadku. Węży tych napotkać można bardzo wiele na tych płaszczyznach. Ich ukąszenie jest śmiertelne, stąd powszechnie ich się obawiają. Kto miał nieszczęście być ukąszonym od tego straszliwego gadu, traci przytomność, piana toczy mu się z ust, ciało całe czernieje, i w przeciągu najwyżej pięciu godzin wyziewa ducha. Co gorsza, dotychczas nie znaleziono jeszcze lekarstwa na ukąszenie *grzechotnika*, dlatego jego ofiar jest tu zawsze dużo.

A teraz, najdroższy mój Ojcze, kończąc to moje, może nieco bezładne, sprawozdanie z odbytych misyi, pozwolę sobie zwrócić Jego uwagę na to obszerne, pracy i staraniom szczupłego i ze wszech miar niedostatecznego naszego grona, powierzone pole do działania. Co i ile może zdziałać dwóch kapłanów na tych *równinach*, gdzie dwudziestu miałoby pracy aż zanadto? Gdyby tu nas było przynajmniej *sześciu*, dałoby się jeszcze coś zrobić; w takim bowiem razie dwóch mogłoby się osiedlić w Villavicencio, dwóch w San Martin i dwóch w Uribe. Z Villavicencio możnaby dojeżdżać do Jirámena; ze San Martin do San Juan de Arama, z Uribe zaś do Guejar i Ilusion, wioski, niezbyt odległej od Uribe. Niech najdroższy Ojciec zastanowi się nad tem sam i rozważy, czy projekt podany nie jest tego rodzaju, iżby go można wziąć na seryo, i czy potrzeba posiłków, jak ją tu przedkładam, nie jest uzasadnioną.

Tymczasem gorąco polecam modlitwom Najprzew. Ojca i wszystkich drogich współbraci, Pomocników, Pomocnic i wychowanków salezyańskich, sprawę naszej misyi, a ufając mocno, iż wkrótce z Turynu przybędzie tu liczny zasiłek pracowników we winnicy Pańskiej, piszę się

z najgłębszą czcią i poważaniem
Przewielebnego i Najdroższego Ojca
pokornym synem

X. Ernest Briata.

ODJAZD

misyonarzy salezyańskich.

Dnia 30go października b. r. odbył się w kościele Matki Boskiej Wspomożenia (*Maria SS. Ausiliatrice*) w Turynie co rok się powtarzający obrzęd pobłogosławienia licznego grona synów i czcigodnych cór księdza Bosko, udających się na misye. Część z nich przeznaczona jest do Argentyny, część do Brazylii, po kilkoro Kolumbii, do Venezueli, Meksyku, Uruguay, do Patagonii i Ziemi ognistej, do Palestyny i na Przylądek dobrej nadziei.

W ziemiach tych zasilą i wzmocnią zastępy swoich współbraci, już od kilku lat tamże we winnicy Pańskiej pracujących, przez co wszystkie zakłady salezyańskie, tamże istniejące, będą mogły rozwinąć skuteczniejszą działalność.

★

Kilku misyonarzy udaje się do rzeczypospolitej San Salwador (w Ameryce środkowej), tudzież na wyspę Curaçāo (w Antyllach), gdzie po raz pierwszy otworzono zakłady salezyańskie.

Jakkolwiek bynajmniej nie nowa, owszem, co rok się powtarzająca, ceremonia odjazdu, nie straciła bynajmniej uroku, jaki za każdym razem wywiera na uczestniczących w niej wiernych; dowodem tego był kościół, przepełniony pobożnymi, kiedy nadeszła chwila rozpoczęcia wzniosłego obrzędu.

U stóp wielkiego ołtarza, przed cudownym obrazem Najświętszej Wspomożycielki, stanęła drużyna salezyańska, złożona z blisko 100 misyonarzy i misyonarek, aby za Jej pośrednictwem uprosić sobie u Pana Boga siłę i moc do przyszłego zawodu, — w tej uroczystej zwłaszcza chwili, kiedy po raz ostatni żegnali ojczyznę, rodziców, przyjaciół i krewnych.

***

Ceremonia miała swój zwykły przebieg. Rozpoczęto nieszpory, a gdy się ukończyły, wstąpił na ambonę X. Karol PERETTO, Przełożony domów salezyańskich w Brazylii i przez blisko trzy kwadranse miał wobec licznie zebranych **Pomocników** konferencyę o misyach.

Nawiązując do historyi prorokini Debory, figury Najświętszej Maryi Panny w *Starym Zakonie*, przedstawił kaznodzieja w krótki, a jednak jasny i dobitny sposób, szczególną Opiekę Przenajśw. Wspomożycielki, jaką otacza i misyonarzy salezyańskich i ich potykanie się z mocami piekielnemi w zaciętej walce o dusze.

W taki sam zwięzły a dobitny sposób napomknął o strasznej pożodze, której pastwą się stała *stacya misyjna* salezyańska na Ziemi ognistej, zwana *misyą Matki Boskiej Gromnicznej* (de la Candelara), o nędzy, w jaką przez to popadli tamtejsi nasi misyonarze i jak za szczególną pomocą Najświętszej Panny stracony ten (jakby się wydawało) posterunek misyjny, na nowo odzyskano i odbudowano.

Wspomniawszy tę katastrofę, nie omieszkał kaznodzieja zgromadzonym **Pomocnikom** salezyańskim przywieść na pamięć szlachetną postać ś. p. X. Biskupa LASAGNA i towarzyszów, którzy padli na pobojowisku ofiarą swego obowiązku w chwili, kiedy najgorętsza wrzała walka ducha ciemności przeciw Prawdzie. Otóż i w tym razie „*Matka Boska księdza Bosko*“ (jak lud włoski zowie Najśw. Wspomożycielkę) nie dozwoliła, aby dzieła, z takim trudem i poświęceniem rozpoczęte przez ś. p. X. Biskupa, miały przez tegoż śmierć ponieść jaki uszczerbek. Owszem, wszystkie zakłady, które był wzniósł, i dzieła, do których pierwszą rękę był przyłożył, nietylko nie upadły, ale rozwinęły się w zadziwiający sposób.

Zwracając się zaś do swego towarzysza znojów i prac apostolskich, X. Alojzego CALCAGNO, byłego Przełożonego misyi salezyańskich w Ekwadorze, który za sprawą rewolucyi, wygnany wraz ze wszystkimi współbraćmi z tejże rzeczypospolitej, obecnie udaje się pracować na nowem polu misyjnem, przypomniał mu owe 25 dni niedostatku i cierpień niewymownych, kiedyto przedzierał się przez dziewicze lasy i przeprawiał się przez bagna i rwiące rzeki pod eskortą żołnierzy rewolucyi, która misyonarzy salezyańskich wydaliła z granic rzeczypospolitej za jedną tylko, jaką popełnili, zbrodnię: oto, że czynili jej dobrze. Przyczem nie omieszkał wykazać, jak za widoczną Opieką Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, która w ciągu owej niebezpiecznej przeprawy swoim czcicielom dodawała otuchy i męstwa, zdołali wszyscy szczęśliwie dotrzeć do granicy.

Kiedy zaś i gdzie okazała się w całej pełni potęga Opieki Wspomożenia Chrześcijan nad naszymi misyonarzami, to w czasie, kiedy grasowała żółta febra, która tyle zawsze ofiar porywać zwykła, zwłaszcza w Brazylii. Wystarczy wskazać na fakt, że w przeciągu 14 lat, odkąd Salezyanie pracują w tej rzeczypospolitej, dotychczas żaden, nietylko z ich grona, ale nawet ani jedna ze Sióstr Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, ani jeden z ich wychowanków i wychowannic, nie padł ofiarą tej strasznej epidemii. A jednak Salezyanie posiadają swoje zakłady właśnie w tych miejscowościach, gdzie żółta febra najwięcej się daje we znaki! Guaratinguetá np., gdzie ś. p. X. Biskup LASAGNA odprawił był ostatnią swoją misyę, aż do jego śmierci nigdy nie była od żółtej febry nawiedzoną. W rok po katastrofie kolejowej pod Juiz de Fora zawitała tam zaraza i przez blisko pół roku szalała, dziesiątkując mieszkańców. Otóż przez cały ten czas jedynie zakład Sióstr Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, tamże istniejący, pozostał nietknięty: tak Siostry jak i wychowannice oddawszy się pod Opiekę Najśw. Wspomożycielki i z żywą wiarą nosząc na szyi Jej medalik, uszły, co do jednej, straszliwej zarazy, a przez całe owych pięć miesięcy lekarz ani razu nie przekroczył progu ich domu, gdyż nie było tam nigdy ani jednej chorej.

Wspomniał również, że był Salezyaninem ów kapłan, który pierwszy pospieszył z pomocą duchowną na pokład pancernika *La Lombardia*, gdy tam wybuchła zaraza, i że za każdym razem i na każdem miejscu, gdzie tylko grasuje epidemia, napotkać można synów księdza Bosko, którzy ufni w pomoc Maryi, śmiało udają się do zapowietrzonych i narażają się na wszelkie niebezpieczeństwa.

np. stanęła wspaniała świątynia, poświęcona Najsłodszemu Sercu Jezusowemu, odwiedzana przez tysiące europejskich emigrantów. W Campinas wzniósł X. proboszcz Nery, obecnie biskup w Espiritu Santo, *schronisko* dla sierot, powierzając je Salezyanom. Taksamo wzięli Salezyanie w opiekę Europejczyków w Bello Horizzonte.

Konferencyę swoją zakończył kaznodzie



Misyonarze Salezyanie — Polacy.

S. Banisz Sz. Wolny T. Drzymała K. Kopczyk J. Dobrzyński
R. Wieczorek K Jamrozy A. Burzyński K. Fligier.

Z hymnu na cześć Najświętszej Opiekunki zstąpił potem kaznodzieja do opowiadania, jak misyonarze nasi, krom opieki duchownej, niosą wychodźcom europejskim skorą pomoc — o ile ich siły i skromne zasoby starczą — nawet w sprawach doczesnych i jak nieraz nie wahają się pośredniczyć — np. w czasie zmowy (strejku) lub t. p. — pomiędzy robotnikami a pracodawcą.

Co się zaś tyczy opieki duchownej, jaką otaczają wychodźców europejskich, to ograniczając się do jednej tylko Brazylii może kaznodzieja zaznaczyć, że w São Paulo

ja gorącem wezwaniem, wystosowanem do wszystkich chrześcijan bez wyjątku, ażeby modlitwą i pieniężnemi ofiarami podobne, jak powyższe, zakłady misyjne wspierali. Nazwał szczęśliwymi, stokroć szczęśliwymi, takich rodziców, którzy ochoczo własnych synów i córki ofiarują Bogu na służbę na niezmierzonem polu misyjnem. Napomniawszy zaś wszystkich ojców i matki, aby nigdy nie stawiali przeszkód dzieciom swoim, które czują się być powołanemi do służby Bożej (przyczem opierał się przeważnie na przykładach i tekstach, wziętych z Pisma św.),

wezwał jeszcze raz wszystkich obecnych o modlitwy za udającymi się w długą, a niebezpieczną podróż, misyonarzami.

Konferencya X. PERETTY głębokie w całem *audytoryum* sprawiła wrażenie.

***

Gdy kaznodzieja zeszedł z ambony, zabrzmiał na chórze poważny organ, rozpoczął się śpiew *Tantum ergo*, poczem X. Biskup iwrejski, Mgr. FILIPELLO, udzielił błogosławieństwa Najśw. Sakramentu.

Nastąpiły modlitwy za udającymi się w podróż, po skończeniu których X. Biskup zwrócił się od ołtarza z krótką przemową do misyonarzy i obecnych w kościele wiernych. **Pomocników** salezyańskich zachęcał do współpracowania w wielkiem dziele nawracania pogan *modlitwą* i *jałmużną*, udających się zaś w daleki świat misyonarzy naszych nazywał *aniołami, oddającymi chwałę Bogu, ludziom zaś niosącymi pokój*; *wojownikami niezwyciężonymi, ponieważ wyruszają na pole walki w imię posłuszeństwa.*

Na zakończenie podeszli misyonarze kolejno do Przełożonych, ażeby od nich otrzymać ostatni uścisk ojcowski i ostatnie słowa zachęty i rady na nowe pole do działania, jakie się przed nimi otwierało. Głębokie wzruszenie ogarnęło wszystkich, kiedy grono młodych apostołów wyszło z presbyteryum, kierując się ku głównym drzwiom kościoła. Oczekiwali ich tam krewni i znajomi, aby może już po raz ostatni zamienić z nimi kilka słów i ich pożegnać. Była to scena rzewna, żywo przypominająca ową chwilę, opisaną w Aktach apostolskich, kiedy św. Paweł, wybierając się do Jeruzalem, żegnał się ze swymi uczniami i nowonawróconymi chrześcijanami: *Magnus autem fletus factus est omnium, et procumbentes super collum Pauli osculabantur eum* (Act. Ap. XX, 37) = *i stał się płacz wielki wszystkich, a upadając na szyi Pawłowej całowali go.*

**

Pomocnicy nasi i wszyscy czytelnicy „*Wiadomości salezyańskich*" z pewnością nie odmówią misyonarzom naszym jałmużny modlitw o szczęśliwą podróż i o błogosławieństwo Boże dla ich prac na znojnem polu nawracania dusz; nie odmówią choćby z tego względu, że wysyłka tegoroczna synów księdza BOSKO na misye liczy w swem gronie *dziesięciu* Polaków.

Nazywają się:

Banisz Stanisław, z *Kopinic* (Górny Śląsk);

Burzyński Andrzej, z *Kromołowa* (Królestwo polskie);

Dobrzyński Józef, z Niem. *Piekar* (Górny Śląsk);

Drzymała Teodor, z *Rozdzienia* (Górny Śląsk);

Fligier Karol, z *Dąbrowy Górniczej* (Królestwo polskie);

Jamrozy Karol, z Carlssegen (*Podlarysz*) (Górny Śląsk);

Kopczyk Konstanty, z *Król. Huty* (Górny Śląsk);

Szkopek Franciszek, z *Zawady* (Górny Śląsk);

Wieczorek Robert, z *Radzionkowa* (Górny Śląsk);

Wolny Szymon, ze *Starych Budkowic* (Górny Śląsk).

Ostatni nadesłał nam następujący list z podróży.

Wyspa św. Wincentego,
8go listopada 1897.

WIELEBNY KSIĘŻE DOBRODZIEJU,

PRZYBYLIŚMY dzięki Bogu szczęśliwie do wyspy św. Wincentego (należącej do grupy *wysp przylądka Zielonego* — Cap Verde — a będącej własnością Portugalii). Tu się nasz okręt zatrzymał, aby zabrać dostateczny zapas węgli na dalszą podróż do Ameryki południowej. Mając więc sposobność wysłania listu, zabieram się żwawo do pisania, aby X. Redaktorowi i wszystkim braciom rodakom, znajdującym się w Oratoryum i w innych domach salezyańskich, zasłać serdeczne pozdrowienie z dalekiego Oceanu i donieść im choć kilka słów o naszej podróży.

O! z jakąż lubością oddycha się powietrzem, płynącem ze stałego lądu i jak błogie uczucie ogarnia człowieka, gdy statek stoi na kotwicy w spokojnej przystani! Tem bardziej, jeżeli się przez kilka dni nic innego nie widziało na szerokim Oceanie, jak tylko niebo i wodę, wodę i niebo, a w dodatku było się nocą i we dnie na wszystkie strony szamotanym wichrami i burzą morską.

Płyniemy okrętem *Sirio*; jest dosyć wielki i wcale szybko posuwa się naprzód. We wtorek w nocy przetrwaliśmy szaloną burzę, tak iż już myśleliśmy, że wszyscy potopimy się w morzu. Noc była ciemna, że oko wykól, do tego pioruny biły tak często i z takim hukiem, że nas nieledwie chciały ogłuszyć, wicher zaś pospołu z bałwanami szarpał naszym statkiem i rzucał nim z taką łatwością, jak gdyby to była łupina od orzecha. Jużeśmy się wszyscy na śmierć przygotowali. Cała załoga okrętu, a zwłaszcza podróżni, tak się wtenczas żarliwie modlili, że aż miło było patrzeć. Wtedy nikt nie twierdził, że Pana Boga niema, nie słyszano żadnych szyderstw albo przekleństw, — wtenczas wszyscy bez wyjątku, Boga

o pomoc wzywali. Mówię *„wszyscy bez wyjątku,“* choć z początkiem burzy jeden z pasażerów (zapewne jaki stary *mason*) wziął rewolwer do ręki i chciał się zastrzelić, mówiąc, że woli sobie sam życie odebrać, aniżeli dać się w morzu żywcem pożreć rekinom.

Także maszyna statku stanęła i przestała spełniać swój obowiązek; podróż więc nasza opóźniła się z tego powodu, ostatecznie jednak, z pomocą Bożą, uszliśmy szczęśliwie niebezpieczeństwa i przybiliśmy oto do wyspy św. Wincentego.

My trzej Polacy (nasza bowiem *dziesiątka* polska rozdzieliła się na trzy grupy i trzema statkami płynie do Ameryki), tj. Drzymała, Fligier i ja, znajdujemy się co do stanu zdrowia w nierównem położeniu. Fligier podczas całej podróży choruje, ja opieram się chorobie morskiej jako tako i raz tylko jeden kawę ze siebie wyrzuciłem, zato Drzymała przez cały czas podróży trzyma się dzielnie na nogach, czem wszystkich wprawia w podziw. Gdy zadzwonią na obiad lub wieczerzę, a żaden pasażer nietylko z miejsca się nie rusza, ale ani na potrawy patrzeć nie może, to on maszeruje śmiało do stołu i zmiata jedno danie za drugiem z takim apetytem, że aż zazdrość budzi. Sam kapitan dziwował mu się, że chociaż po raz pierwszy dopiero podróż morską odbywa, to jednak trzyma się jak stary marynarz i zapytał go, jakim sposobem do tego doszedł. Na to nasz kochany Teoś odpowiedział mu zupełnie tak samo, jak czasu swego Jakób Sikora (o czem pisze w opisie swojej podróży X. Cynalewski): *ponieważ jestem Polakiem!*

Choroba morska więc trapi nas niemało, przez co jednak bynajmniej nie myślę twierdzić, jakoby była największem złem na tym Bożym świecie; owszem, jest tego rodzaju, że po ukończeniu podróży niejednemu na zdrowie wychodzi. W każdym razie nikt jeszcze na nią nie umarł, — co niech będzie pociechą, a nawet zachętą, dla tych naszych rodaków, którzy zamierzają wstąpić w nasze ślady.

Opisując naszą dotychczasową podróż, musiałbym niejedno powtórzyć, o czem z takiem zajęciem czytaliśmy w *„Miesiącu podróży“* X. Stanisława Cynalewskiego, z tą tylko różnicą, że nasza podróż jest o wiele więcej burzliwą; dotychczas jeden tylko dzień mieliśmy spokojny, zresztą prawie ciągłe burze, — zaczem przechodzę do czego innego.

Chcę przedewszystkiem zaznaczyć, że bardzo potrzebujemy modlitwy. Ach! trzeba się znajdować na tej pustyni wodnej, trzeba być miotanym na wszystkie strony wichrami i bałwanami morskimi, trzeba choć raz jeden w zyciu dowodnie, rzekłbym: *namacalnie* przekonać się, że się jest niczem wobec Wszechmocnego Stwórcy, ażeby zrozumieć, czem jest modlitwa i jaką przynosi pociechę i otuchę. Tylko wtenczas, kiedy się jest połączonym z Bogiem, ustaje bojaźń utracenia życia, wtedy przestają trwożyć burze, nie straszne są potwory i niezgłębione przepaści morskie.

Jakąż pociechę stanowi dla nas myśl, że rodzice, przyjaciele i tylu rodaków naszych wspiera nas siłą modlitw w tej niebezpiecznej przeprawie! Wlewa to w serce nasze taką ufność, że chociażby Pan i Stwórca nieba i ziemi chciał nas także w dalszym ciągu podróży wystawić na próbę, zsyłając na nas burze, chociażby pod nami miała się rozewrzeć otchłań Oceanu, to jednak do ostatniej chwili nie stracimy nadziei, że szczęśliwie staniemy tam, dokąd nas powołał głos Boży.

Za wszystko, co się Panu Bogu podobało na nas zesłać w czasie niniejszej naszej podróży, składamy Mu z głębi serca, prawdziwą szczerością tchnące dzięki. Dziękujemy Mu przedewszystkiem za to, że nas od wieków wybrać raczył nietylko na synów jedynie prawdziwego Kościoła św., lecz na swoich apostołów, głosicieli słowa Swojego, że nas użyć raczył jako swoje narzędzia do rozszerzania większej chwały Swojej na tej ziemi i do wprowadzania do królestwa niebieskiego dusz nieśmiertelnych, przez Siebie stworzonych i odkupionych.

Dzięki składamy również Matce Najświętszej Wspomożycielce, potężnej Ochronie i Opiekunce maluczkiego Zgromadzenia naszego, za której przyczyną tyle łask i błogosławieństw niebieskich już na nas spłynęło, a której Opieka — tak przynajmniej mocno ufamy — nie opuści nas teraz zwłaszcza, kiedy rozpoczynamy zawód misyonarski.

Po Bogu i Matce Najświętszej mamy do podziękowania Przełożonym naszym, że jesteśmy obecnie na drodze, wiodącej prosto do Ołtarza, że nam nie szczędzili nauk i przestróg, rad i zachęty, że nam świecili przykładem cnót, a tak ułatwili zbawienie duszy naszej i osiągnięcie królestwa niebieskiego.

Dziękujemy dalej Wam, ukochani Rodzice nasi i krewni, za wszystkie Wasze starania i trudy, któreście dla nas ponieśli. Wielką jest ofiara, jaką Panu Bogu złożyliście, oddając Mu nas na służbę ołtarza, ale pamiętajcie, że nie pożałujecie nigdy, iżeście to uczynili. Pomnijcie, że nie na to Pan Bóg dał Wam synów, ażebyście z nich w późniejszem życiu korzyść mieli, lecz dla Swoich świętych i niezbadanych celów; nie dla Waszej rodziny, lecz dla Kościoła św.; nie na to, aby przez nas zyskać dostatki i nędzną mamonę, słowem rzeczy, które są znikome i których ze sobą do grobu zabierać nie można, lecz po to, aby pozyskać dusze bliźnich i osiągnąć królestwo niebieskie. Wiedzcie również, że Bóg Wszechmogący widzi ofiarę Waszą, wie, żeście nas nie wstrzymywali od udania się na misye, to też w zamian za nią wynagrodzi Was hojnie w tem i w przyszłem życiu.

Dzięki serdeczne składamy także Wam, przezacni **Pomocnicy** salezyańscy, za Waszą jałmużnę, za datki pieniężne, dzięki którym możemy opędzić koszta podróży i udać się tam, gdzie głos serca nas woła, tj. na misye. Bez Waszej ofiarności, w cóżby się zamieniły choćby najlepsze, najgorętsze zamiary nasze? Cześć Wam i szlachetnemu Waszemu sercu! Wy pozostajecie w miłej ojczyźnie, na łonie rodzin Waszych, ale wiedzcie, że

mimo to przyczyniacie się do rozkrzewiania królestwa Bożego tu na tej ziemi, że przez Wasze ofiary, składane na nasze misye, tysiące pogan corocznie otwierają oczy na światło prawdziwej Wiary. My, słudzy ołtarza, tylko dzięki Waszemu wsparciu staliśmy się pracownikami we winnicy Pańskiej, my jesteśmy tylko wykonawcami Waszych życzeń i woli, my przez Was staliśmy się misyonarzami, Wy przez nas nawracacie niewiernych. Jeszcze raz: dzięki Wam za wszystko, coście nam wyświadczyli! Nagrodzi Was Bóg, jak zasłużyliście na to.

Módlcie się za nami, Wy wszyscy, którzy ten list czytać będziecie, módlcie się o szczęśliwą dla nas podróż, bo do Ziemi ognistej jeszcze kawał drogi, módlcie się o powodzenie misyi naszych, o łaski niebieskie i cnoty potrzebne w pracy misyonarskiej.

Ach! ileż uczuć, któremi serce przepełnione, ile myśli, które pod pióro się cisną, miałbym jeszcze do wypowiedzenia, lecz widzę, że już muszę położyć koniec pisaniu. Niebo się zaciemnia, wiatr znowu zaczyna huczeć, statek kołysze się coraz gwałtowniej.

Żegnajcie więc, mili współbracia, drodzy rodzice nasi, krewni i przyjaciele, szlachetni **Pomocnicy** salezyańscy, żegnajcie i módlcie się za nami!

Kl. Szymon Wolny.

POKŁOSIE z naszych domów.

I.

Piszą nam z **Rzymu:**

Kilka lat zaledwie upłynęło, odkąd Zgromadzenie salezyańskie zaczęło wysyłać corocznie po kilkoro ze zdatniejszej swojej młodzieży na kursa filozoficzne i teologiczne do **Collegium Romanum**, a już jej się zebrało wcale liczne grono.

Od trzech lat weszło także w zwyczaj, wysyłać do **Rzymu** na wyższe studya corocznie jednego alumna narodowości polskiej. Salezyanów polskich jest obecnie w **Collegium Romanum** trzech:

Franciszek **Grzesik**, rodem z Budzisk (Górny Śląsk), na 3^{im} roku filozofii;

Jan **Leśnik**, z Pyskowic (Górny Śląsk), na 2^{im} roku filozofii; i

August **Hlond**, z Brzezinki (Górny Śląsk), na 1^{ym} roku filozofii.

Jak słyszę, rodacy ci nasi, pomni, że wobec tylu różnoplemiennych i różnojęzycznych kolegiów świeckich i Zgromadzeń zakonnych, pobierających wraz z nimi nauki w słynnej na cały świat katolicki szkole teologicznej Uniwersytetu gregoryańskiego, przedstawiają narodowość polską, przykładają się z zapałem do nauk, by wszędzie i przed wszystkimi godnie nosić i godnymi się okazać imienia polskiego.

Podnosząc z uznaniem to ich dotychczasowe zachowanie się, śmiem wyrazić nadzieję, że wytrwale dążyć będą do osiągnięcia swego celu, przez co odpowiedzą zaufaniu, jakie w nich położyli Przełożeni, i oczekiwaniom, jakie słusznie do nich rościć mogą własni ich rodacy.

W. M.

II.

Ivrea (prov. di Torino).

CZCIGODNY KSIĘŻE REDAKTORZE,

Chętnie czynię zadość życzeniu Wiel. Ojca i podaję krótki opis uroczystości obłóczyn naszych nowych nowicyuszów.

Uroczystość ta odbyła się w środę, dnia 17^{go} listopada. Dzień przedtem na wieczór zawitał do nas z **Turynu** Przewielebny **X. Michał Rua**, jenerał naszego Zgromadzenia, w towarzystwie księdza **Juliusza Barberisa**, Przełożonego nad nowicyatami salezyańskimi, i **X. Roberta Riccardi'ego**, dyrektora kolegium polskiego w **Lombriasco**. Nie mogliśmy wyjść na ich przywitanie, bo właśnie zadzwoniono na benedykcyą, zaczem wszyscy, wraz z przybyłymi Przełożonymi, udaliśmy się do kaplicy. Nabożeństwo odbyło się w zwykły sposób: odśpiewano piękne *Tantum ergo* na trzy głosy, a Wiel. **X. Barberis** udzielił błogosławieństwa Najśw. Sakramentu.

Nazajutrz, w dzień obłóczyn (dnia 17^{go} b. m.) o godzinie 9^{ej} **X. Riccardi** celebrował sumę, a gdy się skończyła, Przew. **X. Rua** wszedł, ubrany w komżę, do presbyteryum, a poświęciwszy nowe sukienki i odmówiwszy przepisane regułą modlitwy, zasiadł na krześle tuż obok wielkiego ołtarza. Wtenczas wszyscy aspiranci po jednemu przystępowali k'niemu, a uklęknąwszy, otrzymywali z jego rąk sukienkę; poczem, ucałowawszy prawicę swego Przełożonego głównego, udawali się do zakrystyi, ażeby tam przywdziać nową *dewizę*. Ze zakrystyi powrócili wszyscy razem do kościoła w pięknym porządku: na obliczu każdego z tych młodszych braci naszych malował się wyraz szczęścia i pokoju a serca ich w gorącej modlitwie unosiły się ku Bogu, Stwórcy i Panu naszemu, składając Mu najgorętsze dziękczynienia za otrzymaną łaskę. Przewielebny **X. Rua** odmówił znów modlitwy nad nimi, poczem wygłosił piękną, do uroczystości zastosowaną mowę, zachęcając wszystkich, żebyśmy życiem cnotliwem i wiernem zachowaniem reguł naszych wiernie odpowiadali łaskom Bożym i w ten sposób godnie nosili sukienkę zakonną. Po skończonej nauce zaśpiewano *Te Deum*, po niem odśpiewano *Tantum ergo* na trzy głosy. Ucichł śpiew, a Przew. **X. Rua** udzielił błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentu i tak zakończyła się ta piękna, sercu naszemu droga uroczystość.

W czasie obiadu odbyła się krótka *akademia*: kilku nowicyuszów odczytało skromne utwory prozą i wierszem, w których wyrażali wdzięczność

swoim Przełożonym i z całego serca dziękowali Przew. O. Jenerałowi, że raczył ich zaliczyć do milicyi Chrystusowej, obiecując wierność w zachowaniu reguł Zgromadzenia i we wypełnianiu obowiązków swego stanu.

Już o godzinie 1ej po południu pożegnał nas Przew. **X. Rua** i udał się do F o g l i z z o, gdzie nazajutrz miał rozdać sukienki tamtejszym nowicyuszom. Dzięki niech będą Bogu najwyższemu za wszystko!

I tak znów powiększyło się grono polskich kleryków tutaj w I v r e i. Niedawno *siedmiu* opuściło dom nasz, udając się na misye, a oto *trzynastu* nowych przywdziało sukienki i tak wszystkich razem kleryków Polaków jest obecnie w I v r e i *trzydziestu ośmiu*. Siedmiu z nich odbyło swoje studya przygotowawcze we V a l s a l i c e, pięciu przybyło z *kolegium św. Joachima* w L o m b r i a s c o, jeden zaś z M i e j s c a P i a s t o w e g o w Galicyi.

Niezadługo przypada święto **Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny**. Na *akademii*, jaka się przy sposobności tego święta, tyle pamiętnego w Zgromadzeniu naszem salezyańskiem, odbędzie, zawita zapewne nowy biskup ivrejski, X. Filipello.

Niech Wiel. X. Redaktor wybaczy, że tak pobieżnie skreśliłem tych kilka słów; pisałem je szybko, bo potrzeba przygotować się na lekcyę. Materyi szkolnych mamy po uszy; uczymy się: *łaciny* (tłómaczymy teraz 25tą książkę L i w i u s z a), *włoskiego*, *polskiego*, *filozofii*, *pedagogii*, *chemii*, *fizyki*, *matematyki*, *botaniki*, *historyi*, *geografii*, *rolnictwa* (o uprawianiu pola, utrzymaniu łąk i winnic), prócz tego, raz na tydzień mamy *wykład Nowego Testamentu*.

Jesteśmy wszyscy zdrowi i wesoło przepędzamy dni nasze wśród tych pagórków eporedyjskich. — Wszyscy zasyłamy Wielebnemu Ojcu serdeczne pozdrowienie, pozdrawiamy również wszystkich rodaków, znajdujących się w O r a t o r y u m i V a l s a l i c e.

Kl. Józef Oleś.

III.

F o g l i z z o (prov. di Torino).

Wielebny Księże Dobrodzieju,

Z chęcią zabieram się do opisania uroczystej ceremonii *obłóczyn*, jaka się u nas odbyła dnia 18go listopada b. r.

Dawno już przedtem z upragnieniem oczekiwaliśmy, kiedy wreszcie nadejdzie ta szczęśliwa chwila, w której, wyzuci ze świeckich szat, będziemy mogli przyoblec *suknię Pańską* (jak mówiła św. H i l d e g a r d a) i oddać się Bogu całkowicie, tak iżby nam już nic zgoła nie przypominało, żeśmy kiedyś do świata należeli. Na wiele dni przed tym uroczystym, a dla nas tak bardzo ważnym aktem, on głównie stanowił temat wszystkich naszych rozmów, a wyrazy „*vestizione*“ (pomiędzy W ł o c h a m i) a „*obłóczyny*“ (pomiędzy P o l a k a m i) raz po raz o uszy się odbijały. Im więcej się przybliżał ów dzień, tem bardziej wszyscy byli niejako rozgorączkowani, a nasi Przełożeni, w szczególności zaś nasz ukochany X. Dyrektor **Manassero**, wszelkich dokładali starań, aby nas jeszcze bardziej zagrzać miłością ku Bogu i oderwać od świata, do tego stopnia, że kiedy wreszcie zawitał dzień 18go b. m., przeznaczony na obłóczyny, nie było pomiędzy nami (sądzę, iż mogę to śmiało twierdzić) nikogo, którýby w jakibądź sposób, choćby tylko przeciw domowemu porządkowi, był zawinił. Pan Jezus i Matka Jego Najświętsza z pewnością z upodobaniem spoglądali wtedy na nasz dom, pełen dziarskiej młodzieży, a jednak skupionej i trawiącej czas na rozmyślaniach i takich rozmowach, które budowały i ducha pobożności podnosiły.

Dnia 17go listopada przybył do nas Najprzew. X. Michał **Rua**, razem z nim Przełożony nowicyatów salezyańskich, X. Juliusz **Barberis**, i dyrektor zakładu św. Joachima w L o m b r i a s c o, X. Robert **Riccardi**, a z nimi wielu innych XX. dyrektorów i kapłanów salezyańskich. Do tego niektórzy z naszych współ-nowicyuszów (Włochów) posprowadzali swoje rodziny, to też kolegium roiło się od świeckich i duchownych.

Dnia 18go listopada rano odbyła się cicha Msza św. Wszyscy przystąpiliśmy poprzednio do spowiedzi i Komunii św. Podług zwyczaju tutejszego wpierw odprawia się suma, a potem następuje krótki wykład ewangelii, — homilia, czyli, jak tu powszechnie mówią: kazanie. Taksamo było i tym razem.

Gdy zadzwoniono na sumę, kościół był już zapełniony. Skoro się suma skończyła, zaczęła się nareszcie tyle upragniona ceremonia *obłóczyn*. Skromny nasz kościołek przedstawiał wtedy wcale przyjemny dla oka widok: ołtarz był przybrany w kwiaty (sztuczne, gdyż już późna jesień nastała) i festony; filary były udrapowane; wszystko to, ułożone symetrycznie, nie przeładowywało jednak kościoła, nie było też z drugiej strony za skąpo wymierzone i rozwieszone, stąd całe przystrojenie domowej naszej świątyni mogło zadowolnić choćby najwybredniejszego estetę. Każdy z aspirantów trzymał przed sobą sutannę i biret. Przew. **X. Rua** pokropił sukienki wodą święconą, poczem stanął przed ołtarzem, otoczony kapłanami i asystą. Zaczęliśmy wtedy wychodzić z ławek, posuwając się w długim szeregu powoli, z suknią i biretem na ręku, ku ołtarzowi. Tam księża i klerycy pomagali zwlekać ze siebie „*starego człowieka*“ tj. ubranie świeckie, poczem, zbliżywszy się do ołtarza, poklękaliśmy wszyscy. Przełożony odmawiał nad każdym: *Exuat te Dominus veterem hominem cum actibus suis et induat te novum hominem, qui secundum Deum creatus est in justitia et sanctitate veritatis* (= niech Pan zewlecze z ciebie starego człowieka z jego uczynkami, a oblecze cię w nowego człowieka, który stworzon jest według Boga w sprawiedliwości i świętości prawdy), następnie przeżegnał sukienkę i każdy ucałowawszy mu rękę i wręczoną sobie suknię, odsuwał się na bok. Tam pomagali mu ją wdziewać księża i tak jeden *aspirant* po drugim przemieniał się w *kleryka*.

Tu nie mogę zamilczeć wrażenia, jakiego wszyscy bez wyjątku doznaliśmy, kiedy Przełożony odmawiał nad nami słowa: *Exuat* i t. d. Modliliśmy się, aby Pan Bóg raczył rzeczywiście wyzuć z nas *człowieka starego* z jego nawyczkami grzesznemi, a raczył nas oblec w *człowieka nowego*, który stworzon jest w sprawiedliwości i prawdzie, i aby ta zmiana szaty świeckiej na duchowną nie była tylko ceremonią powierzchowną bez skutku, lecz aby była oznaką wewnętrznej przemiany serca, iżbyśmy odtąd mogli coraz większe postępy czynić w doskonałości.

Już od tylu lat tego tylko gorąco pragnąłem, do tej sukienki wzdychałem, tu zestrzelały wszystkie moje życzenia, i oto teraz osiągnąłem ją! . . . O Boże! jakże wielką łaskę mi wyświadczasz! Cóżem ja uczynił, aby stać się godnym tak nadzwyczajnego szczęścia? Powołałeś mnie do stanu duchownego, uczyniłem pierwszy krok na drodze, prowadzącej do św. Sakramentu kapłaństwa. Jużem tyle kolei przeszedł w życiu mojem pomyślnych i niepomyślnych, po tylu drogach kroczyłem, po których stąpając, jużem był prawie stracił nadzieję przywdziania sukienki kleryckiej. Nie byłem i nie jestem godzien (*to zaś może piszący o sobie zwłaszcza powiedzieć, na którego intencyę, racz, łaskawy Czytelniku, zmówić paciorek, aby Pan Bóg raczył dać mu wytrwałość*) a mimoto zechciałeś mnie, o Panie, wybrać! *Quid retribuam Domino pro omnibus, quae retribuit mihi?* Czemże się Panu odwdzięczę? *Calicem salutaris accipiam et Nomen Domini invocabo.* Przyjmę z rąk Pana kielich zbawienny i będę pracował na chwałę Imienia Pańskiego, wzywając Go z wiarą i ufnością.

Większa część z nas była do głębi wzruszoną, a chociaż młodzież niezbyt skora do płaczu, widziałem naokoło siebie oczy zamglone — łzami radości. Wdzianie sukni kleryckiej stanowiło nasze najgorętsze życzenie, czyż więc nie mieliśmy słuszności cieszyć się? Obecnie, gdy to piszę, czuję jeszcze w sobie jakoby echo wyraźne wrażeń, których doznałem w owej chwili uroczystej.

Po skończonej ceremonii, kiedy już wszyscy nowoubrani klerycy zebrali się w kościele, wystósował nasz ukochany O. Jenerał do nas kilka słów serdecznych, zalecając, abyśmy zachowali zawsze czystą naszą sukienkę, nie kalając jej nigdy grzechem; aby samo wspomnienie na dzisiajszy obrzęd i myśl: *jestem klerykiem*, odstraszała nas od obrazy, bodaj najlżejszej, Pana Boga.

Zalecił jeszcze, abyśmy szanowali sukienkę duchowną, abyśmy ją owszem miłowali i nie wstydzili się występować w niej publicznie i ukazywać jawnie choćby wobec najzawziętszych nieprzyjaciół naszych.

Aspirantów-Polaków, którzy mieli szczęście w dzisiejszym dniu otrzymać sukienkę, było dwunastu. Wszyscy są wychowankami częścią kolegium valsalickiego, częścią zakładu polskiego w Lombriasco.

Kl. Teodor Stera.

PIERWSZE

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.

(Ciąg dalszy).

Gdy już ostatnia pieśń przebrzmiała i wszyscy ucichli, życzył X. Bosko na odchodnem po raz ostatni chłopcom *dobrej nocy*, nie omieszkując dodać: *ed una buona settimana* (= i dobrego spędzenia tygodnia), na któreto słowa wszystka młodzież wznosiła gromkie okrzyki:

—„Dobra noc! niech żyje X. Bosko!“

Potem każdy udawał się do domu, podczas gdy kilku ze starszych zatrzymywało się na to, by księdza Bosko odprowadzić do *Rifugio*, najczęściej na wpół martwego ze zmęczenia.

Rozdział XI.

Znown występuje markiz Cavour. — Nadzwyczajne posiedzenie *Wydziału Rady miejskiej*. — Dostojny protektor. — Odniesiona korzyść. — Podagra. — Dozór policyjny. — Polityka Oratoryum. — Szkółki niedzielne i wieczorne. — Kształcenie na nauczycieli. — Pierwsze książki. — Historya święta i kościelna. — System metryczny. — Oddajmy chwałę, komu przynależy.

Jakkolwiek w Oratoryum na Valdocco porządek, karność i spokój panował taki, że większego nie można było żądać, to jednak markiz Cavour (o którym już wyżej była mowa) nie przestawał utrzymywać, że owe zebrania chłopców są dla istniejącego porządku rzeczy niebezpiecznemi i domagać się usilnie ich rozwiązania. Ponieważ zaś ni prośbą ni groźbą nie udało mu się nakłonić księdza Bosko do swoich pretensyi, ani też wpłynąć na X. Arcybiskupa Fransoni'ego, by cofnął dane temuż pozwolenie spełniania czynności duszpasterskich w nowozałożonej *kaplicy świątecznej*, sądził, że najpewniej dopnie celu i doprowadzi do zamknięcia nienawistnego Oratoryum, jeżeli uzyska formalną uchwałę, czy wyrok

potępiający, ze strony *Wydziału Rady miejskiej* (Ragioneria), któratoinstytucya w owych czasach znaczyła coś więcej, aniżeli teraźniejsza *Rada miejska* (Giunta municipale).

Składała się ona z dobranych, znakomitszych radców municypalnych, a w ręku swem skupiała władzę nad całym zarządem miejskim. Szef owego *Wydziału*, zwany pospolicie *Maestro di Ragione*, albo *Primo decurione* (pierwszy dekuryon), lub też *Vicario della Città* (prezydent miasta) wyższy był rangą od zwykłego burmistrza, — takim zaś dygnitarzem był właśnie wówczas w Turynie markiz Cavour.

Poświęciwszy zatem kilka tygodni na należyte obrobienie członków *Wydziału* i przygotowanie ich do popierania wniosku, jaki w pełnej *Radzie* w sprawie Oratoryum stawić zamierzał, zwołał zawzięty Prezydent nadzwyczajne posiedzenie *Ragionerii*. Ponieważ zaś nie zdołał przeciągnąć na swoją stronę X. Arcybiskupa Fransoni'ego, Pasterza równie nieustraszonego w spełnianiu swoich obowiązków, jak gorliwego o dobro dusz, chciał więc koniecznie, by przynajmniej był na *Radzie* obecnym, dla pokazania, że *krzyż* władzy duchownej połączył się niejako z *mieczem* władzy świeckiej dla zadania Oratoryum ciosu śmiertelnego. Dowiedziawszy się wszakże, że Najprzew. X. Arcypasterz był cierpiącym i że w żaden sposób nie mógłby przybyć na ratusz na posiedzenie, zwołał z jego pozwoleniem *Radę* do pałacu arcybiskupiego.

W dniu więc oznaczonym panowie wydziałowi udali się *in corpore* z wielką pompą na pokoje arcybiskupie i zajęli uroczyście miejsca na przygotowanych fotelach. „*Kiedy ujrzałem*," tak się wyraził później X. Arcybiskup do jednego ze swych przyjaciół, „*wszystkich tych dostojników, zebranych w owej sali, zdawało mi się, jakoby się miał odbywać sąd ostateczny.*"

Po zagajeniu posiedzenia i wyłuszczeniu powodów zwołania tak nadzwyczajnej sesyi przez Prezydenta, rozpoczęły się zaraz obrady i zaczęły padać głosy za i przeciw stawionemu przezeń wnioskowi; toczono ożywione rozprawy o stosowności i niestosowności zebrań świątecznych takiej masy młodzieży, ostatecznie jednak (ponieważ większość przechylała się na stronę Prezydenta) zanosiło się na uchwałę, że należy absolutnie owe zebrania zakazać a Oratoryum zamknąć.

I tak podstęp i złość byłyby niezawodnie odniosły zwycięstwo, gdyby Opatrzność Boska w sam czas nie była zesłała księdzu Bosko i jego chłopcom dzielnego Obrońcy.

Wszechmogący Bóg, który, by tem bardziej uwydatnić znaczenie Oratoryum, dopuścił, żeby niektórzy ludzie byli mu przeciwni, nie omieszkał z drugiej strony zjednać mu potężnych przyjaciół na samym dworze królewskim. Do tych muszę przedewszystkiem zaliczyć szlachetnego hr. Józefa Provana di Collegno, dzierżącego wtenczas tekę ministra *al Controllo generale* (czyli *finansów*) króla Karola Alberta. Już po kilka razy dobroczynny hrabia przychodził księdzu Bosko w pomoc, udzielając mu wsparcia na *kaplicę świąteczną*, bądź z własnych funduszów, bądź też z prywatnej szkatuły króla, którego dokładnie powiadamiał o tem, co się działo w Oratoryum. Król sam chętnie lubił słuchać, gdy mu o Oratoryum opowiadano, a gdy tam obchodziła się jaka większa uroczystość, z przyjemnością czytał relacyę, którą X. Bosko zwykł mu był na piśmie przedkładać, lub też słuchał ustnego sprawozdania, jakie mu zdawał nieoceniony hr. Provana. Przeświadczony zatem osobiście o dobrych skutkach, jakie ze zebrań w Oratoryum odnosiło tak liczne grono zbierającej się tamże młodzieży, kazał król Karol Albert księdzu Bosko już po kilka razy w imieniu swojem oświadczyć, jak wielce sobie ceni ten rodzaj duszpasterstwa, któremu on się z takim skutkiem oddaje; porównywał je do pracy na *misyach zagranicznych* i wyrażał po kilkakroć życzenie, by we wszystkich miastach i wioskach Piemontu podobne *kaplice świąteczne* były dla młodzieży zaprowadzone. Szlachetne wszakże serce monarchy nie poprzestało jedynie na słowach uznania i zachęty, od czasu do czasu bowiem (jakto już wyżej wspomniano) posyłał księdzu Bosko zapomogi, i tak tego np. roku (1846), posłał mu jako noworoczny podarek 300 franków (= 240 marek) z żartobliwym dopiskiem: *Pei biricchini di* Don Bosko (= dla urwiszów księdza Bosko).

Mając więc takiego protektora za sobą, oczywista rzecz, że Oratoryum nie potrzebowało się nikogo i niczego obawiać. Miało się to sprawdzić niebawem. Zaledwie bowiem król Karol Albert się dowiedział, że *Wydział Rady miejskiej* zbiera się z tym wyraźnym zamiarem, by Oratoryum zamknąć, kazał wezwać do siebie hrabiego Provana, który również był członkiem owej *Ragioneria* i polecił mu, by na posiedzeniu *Wydziału* oświadczył zgromadzonym rajcom najwyższą swoją wolę w tych słowach: „*Życzeniem Najjaśniejszego Pana jest, ażeby podobne zebrania świąteczne popierano i niemi się opiekowano. W razie, gdyby zachodziła obawa jakichś nieporządków,*

należy obmyśleć środki, by im zawczasu zapobiedz; zresztą ma się je zostawić w pokoju.“

Kiedy więc hr. PROVANA, który w milczeniu przysłuchiwał się ożywionym wywodom swoich kolegów na owem pamiętnem posiedzeniu, widział, że w konkluzyi zanosi się na wydanie rozkazu, aby Oratoryum zwinąć, powstał, a zażądawszy głosu, spełnił powierzone sobie najwyższe zlecenie, oznajmując wolę króla Jegomości słowami, jak powyżej. Nie podobna opisać, jakie wrażenie wywarło niespodziewane orędzie królewskie na prezydencie prześwietnego *Wydziału* i wszystkich jego stronnikach. Spuścili w milczeniu głowy, a markiz CAVOUR zamknął zaraz posiedzenie.

Tak więc w chwili, gdy wszystko już zdawało się być straconem, sprawił Pan Bóg, że Oratoryum z uknutego nań zamachu nietylko żadnej nie poniosło szkody, ale że owszem odniosło zysk niepomierny, ponieważ niektórzy z owych wydziałowych radców, którzy przedtem o księdzu BOSKO i jego Oratoryum byli niezawodnie źle poinformowani i dlatego okazywali mu się przeciwnymi, niezadługo potem stali się szczerymi przyjaciółmi i dobrodziejami jego i jego synów.

Z tem wszystkiem zawzięty Prezydent miasta Turynu nie przestawał i nadal objawiać nienawiści, jaką pałał ku Oratoryum. W kilka dni po owem posiedzeniu *Ragionerii*, wezwał księdza BOSKO na ratusz, a nazwawszy go „*upartym*,“ rozwodził się dość długo nad jego zebraniami świątecznemi na Valdocco, a wreszcie zakończył swoją mowę temi oto słowy:

—„Ksiądz niezawodnie pracujesz w dobrej wierze, ale to dobro, jakie myślisz osiągnąć, grozi niebezpieczeństwem. Na mnie spoczywa obowiązek starania się o spokój publiczny, dlatego począwszy od dzisiaj stawię osobę Księdza i jego zebrania świąteczne pod dozór policyjny. Za pierwszym nieporządkiem, któryby Księdza mógł skompromitować, każę rozpędzić jego uliczników, Księdza zaś pociągnę do odpowiedzialności za wszystko, co się stało.“

Pomimo tak otwartej zapowiedzi rozpoczęcia na nowo kroków wojennych przeciw Oratoryum, wyszedł X. BOSKO z ratusza z daleko większą otuchą, aniżeli przed chwilą, kiedy do niego wstępował, lecz całkiem co innego przychodzi nam powiedzieć o jego przeciwniku: markiz CAVOUR owego dnia urzędował na ratuszu już po raz ostatni. Czyto z powodu silnych wrażeń, na jakie w ostatnich zwłaszcza dniach był wystawiony, czyteż dla innej jakiej wewnętrznej choroby — to pewna, że dostał nagle silnej *podagry*, która po ciężkich cierpieniach przyprowadziła go do grobu.

Mimo to, przez ten krótki czas, w którym jeszcze pozostawał w urzędzie, posyłał co niedzielę do Oratoryum kilku policyantów z nakazem, by tam cały dzień spędzili, na wszystko, co się działo, dawali baczność i dokładnie przysłuchiwali się i przyglądali, co w *kaplicy* i na dziedzińcu mówiono i czyniono. Policyanci, będąc naocznymi świadkami, jak jedno słowo księdza BOSKO wystarczało, by utrzymać w karbach tak wielką liczbę chłopców, widząc ich zwłaszcza wesoło i spokojnie się bawiących, słysząc kazania i nauki, jakie im prawiono, bardzo się tem wszystkiem budowali i miasto owe zebrania szpiegować, powzięli wkrótce wielki dla nich i dla osoby księdza BOSKO szacunek.

Jeden z nich opowiadał później następującą rozmowę, jaką miał z chorym już wówczas markizem CAVOUR:

—„No, więc cóż?“ zagadnął go tenże pewnego razu, „coście tam widzieli i słyszeli wpośród tej hałastry?“

—„Panie Markizie, widziałem liczne grono chłopców, zabawiających się w najróżniejszy sposób, i to bez sporów, bez przekleństw i kłótni. Przyglądając się im, rzekłem sobie: O! gdyby wszystka młodzież turyńska tak sobie postępowała, mielibyśmy wtedy mało do roboty, a więzienia z pewnością nie byłyby tak zapełnione, jak są obecnie. W *kaplicy* słyszałem kazania i nauki, które mi poprostu napędziły strachu i wzbudziły we mnie ochotę do spowiedzi.“

—„A o polityce czy nie mówiono nic?“

—„O polityce nawet wcale nie wspomniano, co jest całkiem naturalne, gdyż to do kościoła nie należy, a zresztą chłopcy niczby z tego nie zrozumieli. O ile mogłem wymiarkować, zdaje mi się, że cała polityka księdza BOSKO polega na kształceniu swoich chłopców na prawych chrześcijan; na nauczaniu ich czytania, pisania i rachunków; na przestrzeganiu, by w czasie zabaw i rozrywek nie zrobili sobie albo nie mówili czego złego; na wyszukiwaniu im pracy u uczciwych majstrów; na odwiedzaniu chłopców w ciągu tygodnia i dawaniu im zachęty i dobrej rady, — słowem, na czynieniu tego wszystkiego, coby pełnić powinni ich rodzice, a czego niestety, ci nie robią, bądź dlatego, że nie mogą, bądź też, że nie chcą.“

—„A czy nie rozprawiano o rewolucyi lub wojnie?“

—„O tem nie mówiono ani słowa, nietylko

w kościele, ale ani poza kościołem. Co do mnie, jestem tego przekonania, że chłopcy z Oratoryum byliby raczej gotowi i potrafiliby znakomicie wszcząć rewolucyę i wydać sobie wzajemnie bitwę, gdyby im się np. postawiło kosz z bułkami; wtenczas pewny jestem, każdy z nich szedłby do szturmu z takiem męstwem, że ani chybi zasłużyłby sobie na medal. Wyjąwszy ten oto przypadek, sądzę, panie Markizie, że w owych zebraniach świątecznych na Valdocco niemasz najmniejszego niebezpieczeństwa."

Policyant ten mówił prawdę. Taką była zawsze i taką jest dotąd polityka Oratoryum św. Franciszka Salezego i jegoż wychowanków.

Jeszcze kiedy Oratoryum miało swoją siedzibę w *konwikcie duchownym* przy kościele św. Franciszka z Asyżu, uznał X. Bosko za konieczne, zaprowadzić osobną szkołę dla takich chłopców, którzy nie umieli czytać ani pisać. Wielu z nich bowiem, lubo już mieli lata, zupełnie byli ciemnymi w rzeczach Wiary i, co za tem idzie, dobrych obyczajów. Otoż mając przed sobą takich uczniów, oraz przekonawszy się, że jeżeli się ograniczy na samym tylko wykładzie ustnym, natenczas zmitręży wiele czasu, a nauka katechizmu przeciągnie się w nieskończoność, postanowił w każdą niedzielę i święto uczyć ich czytać, na to, ażeby sami mogli przyswajać sobie i wbijać w pamięć pytania i odpowiedzi, zawarte w podręczniku; dla braku jednakże odpowiedniego miejsca szkółka ta oczywiście odbywać się mogła w sposób niedostateczny i nader szczupłych rozmiarach.

W *Rifugio* (schronisku) markizy Barolo, a później w domu księdza Moretty, szkółki niedzielne, a także wieczorne, dla *analfabetów* (jak o tem już wyżej wspomniałem) zaczęły się odbywać z większą regularnością, rozwinęły się jednak na dobre dopiero wtenczas, kiedy Oratoryum przeniesiono na miejsce, gdzie obecnie się znajduje.

Ażeby tem prędsze i wydatniejsze osiągnąć ze swoich szkółek owoce, trzymał się X. Bosko następującej metody. Przez jednę lub dwie niedziel powtarzał z chłopcami alfabet i kazał im sylabizować, poczem brał *mały katechizm* dyecezalny i na nim ciągnął dalej ćwiczenia elementarne tak długo, dopóki nie nauczyli się czytać dwóch lub trzech pytań wraz z odpowiedziami; tych kilka pytań zadawał im następnie jako lekcyę do nauczenia się w ciągu tygodnia. W następną niedzielę powtarzał z nimi, czego się byli w domu nauczyli, dodając kilka nowych pytań i odpowiedzi i tak dalej. W ten sposób po upływie kilku tygodni miał tę pociechę, że większa część chłopców potrafiła przeczytać sama i nauczyć się na pamięć całych stronnic z katechizmu. Było to dla niego wielkiem ułatwieniem pracy, inaczej bowiem byłaby musiała młodzież doroślejsza, a nie umiejąca czytać, spędzać całe miesiące na nauce ustnej, wpierw nimby dostatecznie się przygotowała do godnego odprawienia spowiedzi i przyjęcia Komunii.

Szkółka niedzielna okazała się dla wielu bardzo korzystną, lecz nie ze wszystkiem wystarczającą, młodzież bowiem mniej uzdolniona i z tępą mająca do walczenia pamięcią, zapominała w ciągu tygodnia, czego się w niedzielę w Oratoryum była nauczyła. Ażeby zapobiedz temu niedostatkowi i przyjść zarazem takim chłopcom w pomoc, wziął się X. Bosko rączo do zaprowadzenia *szkół wieczornych* codziennych (co również już w jednym z poprzedzających rozdziałów miałem sposobność zaznaczyć). *Szkółki* te, dzięki jego gorliwości i energii, odbywane regularnie i na daleko szerszą, aniżeli w domu księdza Moretty, skalę, osiągnęły w bardzo krótkim czasie, prócz wielu innych namacalnych korzyści, przedewszystkiem następujący dobry skutek: Oto zachęciły młodzież do uczęszczania na naukę regularnie i do korzystania z niej, ile tylko się dało, celem zbogacenia umysłu i przyswojenia sobie użytecznych wiadomości, a zarazem podawała księdzu Bosko sposobność do trzymania ich zdala od złych towarzystw i niebezpiecznych schadzek w godzinach wieczornych, do nauczania ich zasad Wiary św. i dobrych obyczajów, do kierowania myśli ich i serca do Pana Boga, słowem, do wychowywania ich na prawych chrześcijan, co było głównym celem jego nauk i zachodów.

Skąd jednakże brał X. Bosko nauczycieli dla tych szkół i dla tylu chłopców?

Sam ich sobie kształcił, a to w następujący sposób. Pomiędzy młodzieżą, uczęszczającą do Oratoryum wielu było takich, którzy mieli większe od innych zdolności i gorąco pragnęli otrzymać szersze wykształcenie, a to w tym zamiarze, ażeby zczasem osiągnąć lepsze i zyskowniejsze stanowisko w społeczeństwie. Otoż X. Bosko wybrał z nich kilkoro i udzielał im darmo lekcyi języka *włoskiego*, *łaciny*, języka *francuskiego*, *arytmetyki* i t. d., pod warunkiem, by mu co niedzielę i święta pomagali w nauczaniu katechizmu i odbywaniu *szkółki niedzielnej* i *wieczornej* z ich towaryszami.

Chociaż nauka ta kosztowała go niemało

trudów i potu, to jednak próba udała się nadspodziewanie. Grono tych młodych jego pomocników i nauczycieli wzrosło niebawem z ośmiu na dziesięciu, i nietylko byli mu wielką pomocą w nauczaniu innych chłopców, ale osiągnęli istotnie w późniejszem życiu stanowiska, do jakich za młodu dążyli. I w taki oto sposób utworzył się w Oratoryum osobny oddział studentów, dostarczający dziś jeszcze licznym, a ciągle mnożącym się zakładom księdza Bosko, w różnych krajach i częściach świata, nauczycieli i asystentów.

Dzięki tej i niejednej innej, postronnej, pomocy, rozwinęły się *szkółki niedzielne* i *wieczorne* w Oratoryum w sposób niebywały. Wtedy to właśnie X. Bosko, który już był ukończył ze swymi *analfabetami* czytanie i naukę *małego katechizmu*, napotkał wielką trudność w wyszukaniu innego podręcznika, któryby się do jego celów i do stopnia wykształcenia jego chłopców nadawał. Przejrzał wprawdzie dokładnie wszystkie *historye biblijne*, które podówczas w szkołach piemonckich były w użyciu, żadna z nich jednakże, zdaniem jego, nie odpowiadała swojemu zadaniu. Brak stylu, przystępnego do pojęcia wszystkich, sposób pisania wyszukany, różne długie, a dla młodzieży całkiem niewłaściwe wywody i rozprawy, — te były wspólne ich wady i na to chromały najwięcej. Przytem spora liczba zdarzeń i faktów, o których wspomina *historya święta*, była opisana w sposób, że mogła nasuwać młodzieży niezbyt budujące myśli, a co więcej, wszystkie ówczesne podręczniki zapominały kłaść nacisk na takie słowa i fakta, któreby powinny służyć za podstawę do nauki o prawdach Wiary i obyczajach. To samo dałoby się powiedzieć o wyjaśnieniach i uwagach, tyczących się zewnętrznego kultu, spowiedzi, Komunii św., czyśca, papiestwa i t. p.

Widząc te braki, cóż tedy począł X. Bosko? Jakkolwiek miał wielki wstręt (co sam często wspominał) do imania się pióra i wydawania dzieł, to jednak z miłości ku swoim chłopcom przezwyciężył się i tak powstała spora liczba książeczek dla ludu i młodzieży. Zabrawszy się rychło do dzieła, ułożył podręcznik, któryby był wolny od wytykanych wyżej błędów. Tak powstała *Storia sacra di Don Bosco ad uso delle scuole* (= Historya święta, ułożona przez X. Bosko, dla użytku szkół). Najważniejsze zdarzenia z Pisma św. wyłożone są tam językiem czystym, w sposób przystępny, stylem zwięzłym a jasnym, tak że młodzież bez żadnej trudności może je zrozumieć i w pamięci zachować. Opowiadanie przeplatane jest krótkiemi naukami moralnemi, zastosowanemi do wieku młodzieńczego. Na końcu książeczki umieszczony jest spis nazw jeograficznych, zawartych w podręczniku, do których dodano ich nazwy dzisiejsze.

Po *Historyi św.* nastąpił *Podręcznik do historyi kościelnej*, który również pomiędzy młodzieżą wiele sprawił dobrego. Godne są uwagi powody, które go skłoniły do podjęcia się tej pracy.

„*Ponieważ* (tak mówi sam w przedmowie do tego ostatniego dziełka) *już od kilku lat zajmuję się kształceniem i wychowywaniem młodzieży i szczerze pragnę podawać jej — o ile to leży w mojej mocy — najpożyteczniejsze wiadomości, szukałem między innymi podręcznikami także krótkiego rysu historyi kościelnej, któryby do stopnia jej rozwinięcia umysłowego najwięcej był zastosowany. Pomiędzy nimi znalazłem wprawdzie kilka, które z różnych względów nader są cenne, lecz z uwagi na użytek, który sobie wytknąłem, są albo za obszerne, albo też więcej, aniżeli tego potrzeba, rozwodzą się nad historyą świecką. Co zaś nie bez oburzenia musiałem zauważyć, to fakt, że pomiędzy pisarzami historyi kościelnej znajdują się tacy, którzy jak gdyby się wstydzili mówić o Papieżach i o najświetniejszych czynach i wypadkach, które wprost odnoszą się do Kościoła św.*“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z MISYI

Bahia Blanca (rzeczpospolita argentyńska, Ameryka południowa).

*(Ciąg dalszy *).*

Po długiej, w liczne przygody obfitującej podróży, dobił nareszcie X. **Milanesio** do miejscowości **Choroy-Ruca** (= *miejsce papug*), gdzie przebywał wraz ze swymi wyż wspomniany już naczelnik, który trwając ciągle w przekonaniu, że został podstępnie oszukanym przez X. Biskupa Cagliero, zimnem i obojętnem spojrzeniem przyjął misyonarza, gdy tenże przed nim się stawił; pozwolił mu jednakże zatrzymać się w obozie.

Pierwszego zaraz dnia wołano naszego misyonarza do pewnej staruszki, niebezpiecznie chorej; a że **Indyanie** są przekonani o jakiejś wyższej władzy i potędze, jaką posiadają kapłani katoliccy (czyli *Padres* = Ojcowie, jak nas tutaj nazywają),

*) Zob. *Wiadomości salezyańskie*, nr. 6, str. 159-164.

wnosili zatem, że on zdoła uzdrowić śmiertelnie chorą staruszkę z ich plemienia. X. **Milanesio**, widząc zbliżający się koniec jej życia, postanowił przedewszystkiem zapewnić jej port wieczny dla duszy i po zwykłych przygotowaniach ochrzcił ją *sub conditione*.

Naleganiom wszakże chorej, a więcej jeszcze jej otoczenia, by jej dać jakieś lekarstwo, nie było końca; pomimo więc, że wszelkie odnośne starania uważał całkiem za zbyteczne, to jednak, by się nie okazać przeciwnym ogólnej woli, nie mając chwilowo przy sobie innego lekarstwa, podał nim pomścić zawód, jakiego doznali ze strony rządu argentyńskiego. Gdy jednakowoż spostrzegł, że dzikie ich okrzyki coraz się oddalały, domyślił się, że inny zgoła był powód tego zajścia. Dowiedział się o nim dnia następnego. Była to wyprawa, a raczej zwykła u **Indyan** patagońskich ceremonia, odbywająca się po każdorazowym wypadku śmierci przeciw duchowi *złemu*, któremu śmierć przypisywano, chcąc go w ten sposób przestraszyć i oddalić od obozu.

O obrzędach indyjskich jednakże rozpiszę się w następnym liście.



X. Stanisław CYNALEWSKI,

dyrektor kolegium w LA PIEDAD i jego pierwsi wychowankowie.

X. **Milanesio** chorej kilka kropel wina mszalnego. Poczem, poleciwszy ją opiece obecnych, odszedł do swego namiotu.

Tymczasem chora w nocy przeniosła się do wieczności. Nad ranem, bez uwiadomienia nawet X. misyonarza o śmierci, natychmiast ją pogrzebano i podłożono ogień pod namiot, w którym życia dokonała, oddając na pastwę płomieniom wszystko, co tylko do staruszki należało. Po tem *całopaleniu* wszyscy mężczyzni szczepu, przebywający w obozie, uzbrojeni jakby na odsiecz przeciw nieprzyjacielowi i z ogromnym hałasem, rzucili się w stronę, gdzie stał namiot X. **Milanesio**, wypoczywającego po tylu trudach i przygodach długiej a niebezpiecznej podróży na rozciągniętej na ziemi skórze *guanaco* (sarny patagońskiej). Wrzask ten zbudził naszego misyonarza, a ponieważ właśnie w przechodzie otoczyli jego namiot, wnosił, że dla niego ostatnia wybiła godzina i że **Indyanie** pragną na

Tutaj tylko jeszcze nadmienię, że dnia następnego zwinięto namioty i przeniesiono się w inną okolicę, opuszczając miejsce, zajmowane dotychczas, jako opanowane od złego ducha. X. **Milanesio** tułał się wspólnie z nimi przez dwa miesiące, pracując dla chwały Bożej i zbawienia dusz tych biednych tułaczów. Po sześciu miesiącach powrócił do domu, wycieńczony na siłach, a zanim powtórnie będzie mógł znowu wyruszyć na misye, kilkutygodniowy odpoczynek jest mu niezbędnie potrzebny. Prawdziwy wszakże misyonarz jest *nunquam minus otiosus, quam cum otiosus* (= nigdy mniej nie próżnuje, jak właśnie wtenczas, kiedy zażywa wywczasu). To też X. **Milanesio** korzysta z chwilowego wypoczynku, ażeby z pomocą wspaniałomyślnych ofiar, wykołatanych u wielkodusznych **Pomocników** salezyańskich, zebrać potrzebne środki na ponowną wyprawę misyjną.

NEKROLOG

ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Bażan Adam, — *Konty*, Górny Śląsk.
X. Biela Jan, — *Męcin*, Galicya.
Ciesielski W., *Dubin*, — Wielkie Księstwo Poznańskie.
Cieszyński Wawrzyniec, — *Szembark*, Prusy Zachodnie.
Czekałowska Wiktorya, — *Wygnanka*, Galicya.
X. Drużbacki Bonawentura, proboszcz emeryt, — *Jozseffalva*, Bukowina.
Ewert Maryanna, — *Minsterwałd*, Prusy Zachodnie.
Goździejewicz S., — *Kostrzyn*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Grzesiewski H. — *Jutrosin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Grzeszkiewicz K., — *Złotów*, Prusy Zachodnie.
X. Klawitter Edward, prałat, — *Pelplin*, Prusy Zachodnie.
Klebs, — *Świecie*, — Prusy Zachodnie.
Knaś Feliks, — *Królewska Huta*,Górny Śląsk.
Kobylecka Maryanna, — *Lisia góra*, Galicya.
X. Kociński Sylwester, — *Murzynowo kościelne*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Koj Rozalia, — Górny Śląsk.
Kołodziej Andrzej, — *Król. Huta*, Górny Śląsk.
Kost Albert, — *Brzenskowice*, Górny Śląsk.
X. Kosturski Jan, wikaryusz, — *Leszniów*, Galicya.
Kotulla Antonina, wdowa, — *Bielszowice*, Górny Śląsk.
Kozarczyk Józef, — *Załęże*, Górny Śląsk.
Kraszewski J., m. rzeźnicki, — *Poznań.*
Krogul, kołodziej, — *Wartenbork*, Warmia.
Kuczkowski W., — *Gniezno*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Kulesza Józef, — Górny Śląsk.
X. Kuryś Stefan, proboszcz, — *Brody*, Galicya.
Kusnicius Szymon, — *Ruda*, Górny Śląsk.
Łagodziński Bonawentura, — *Gostyń*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Langos K., m. piekarski, — *Król. Huta*, Górny Śląsk.
Lewandowski Teodor, — *Hamburg.*
Linke Małgorzata, — Wielkie Księstwo Poznańskie.
Liszka Ludwik, — Górny Śląsk.
Mackowiak J., m. krawiecki, — *Bnin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Malaczewski Adolf, — *Kobylin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Mayer Albin, — kapelan szpitala nieuleczalnych im. Bilińskich, — *Lwów*, Galicya.
Mendelski, m. szewski, — *Buk*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
K. Michalski Felicyan, — *Poznań.*
X. Mięsopust Alojzy, proboszcz, — *Pomorzany*, Galicya.
Młynarczak A., — *Poznań.*
Naczyński, — *Dąb*, Górny Śląsk.
Nischang Augustyn, *Trachenberg*, Górny Śląsk.
X. Nowak Franciszek, proboszcz, — *Książ*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Nowak Karol, — *Bytom*, Górny Śląsk.
Opiełka, restaurator, — *N. Piekary*, Górny Śląsk.
Painta Jędrzej, — *Michałkowice*, Górny Śląsk.
X. Dr. Paszyński Juliusz, prałat-scholastyk, — *Przemyśl*, Galicya.
Pawleta Aleksander, — *Miejski Szarlej*, Górny Śląsk.
Piekarski A., — *Jeżyce*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Pietruski Eugeniusz, proboszcz, — *Kochawina*, Galicya.
X. Piotrowicz Stanisław, — *Ryglice*, Galicya.
Piskorski Piotr, — *Czerminek*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Plewnia Marya, — Górny Śląsk.
Popkała K., — *Głogówek*, Górny Śląsk.
Przybylski M., m. malarski, — *Borek*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Psuk Cecylia, — *Królewska Huta*, Górny Śląsk.
X. Radziszewski Adam, proboszcz, — *Kaczanówka*, Galicya.
Rosłanowski Jan, — *Wygnanka*, Galicya.
X. Sadowski Franciszek, dziekan i proboszcz — *Siedlemin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Sawa Franciszek, proboszcz, — *Tłumacz*, Galicya.
Sawiński, m. garncarski, — *Borek*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Scheja Józef, wycużnik, — *Janów*, Górny Śląsk.
Schoenfeld Paulina, — *Gołańcz*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Ściegura Mikołaj, — *Lutogniewo*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Sergot Michał, proboszcz, — *Janowiec*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Setnik Filip, — *Chorzów*, Górny Śląsk.
Skarplik J., — *Kempno*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Sieg Nikodem, proboszcz, — *Orchowo*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Smolka Konstanty, — Górny Śląsk.
Smulski Władysław, redaktor „Gazety katolickiej,“ — *Chicago*, Stany Zjednoczone Ameryki północnej.
Sociera Franciszek, — *Maciejkowice*, Górny Śląsk.
Spalek Magdalena, „ „
X. Stojałowski Sylwester, proboszcz, — *Dobrzyca*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Szczepański Wł., — *Toruń*, Prusy Zachodnie.
Szemroszczyk Aleksander, — *Lipiny*, Górny Śląsk.
Szmyt Fr., — *Fordon*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Szuścik Karol, — *Chropaczów*, Górny Śląsk.
X. Tabiński Longin, wikaryusz, — *Lwów*, Galicya.
Tomecki A., m. rzeźnicki, — *Mysłowice*, Górny Śląsk.
Trzecieska Marcelina, — *Rudna* koło Rzeszowa. Galicya.
Wardęski A., budowniczy, — *Poznań.*
X. Wawrowski Józef, proboszcz, — *Baranów*. Wielkie Księstwo Poznańskie.
Weimann Jan, — *Lipiny*, Górny Śląsk (100 marek na Msze św. gregoryańskie).
X. Widlarz Franciszek, katecheta, — *Ropczyce*, Galicya.
Wilczek K. — *Złotów*, Prusy Zachodnie.
Wojciechowski J., — *Kórnik*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Wojtasik Jan, — *Laurahütte*, Górny Śląsk.
Wolniak J., — *Poznań.*
X. Ziętkiewicz Ludwik, dziekan i proboszcz, — *Łabiszyn*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Ziółkiewicz, — *Czerniejewo*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Zlotosz Franciszka, — Górny Śląsk.
Zyzik Barbara, — *Kolonia Böhme*, Górny Śląsk.

Wiadomości salezyańskie.

Czasopismo illustrowane miesięczne

Wychodzi w *drugiej* połowie każdego miesiąca.

SPIS PRZEDMIOTÓW

zawartych w roczniku I.

1897.

Czerwiec.

Ryciny:

Lipiec.

Ryciny:

Sierpień.

Ryciny:

Wrzesień.

Ryciny:

Październik.

Ryciny:

Listopad.

Ryciny:

Grudzień.

Ryciny:

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.